

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

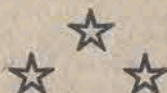


NR 44 (1195) ROK XXIII

2 LISTOPADA 1980 R.

CENA 3 ZŁ

JAN HUSZCZA



Nie wiem, czy ojca jest gdzie mogiła,
czy są mogiły dziadków nad Dźwiną,
gdzie innych bliskich, których nie zliczę
— ich różnych krajów ziemia przykryła!
Czasem w Zaduszkach zdoła się swierczyną
mogiłkę Łódzką, zapalam znicze,
by nad nieznaną — w nikłym migocie
znowu się w dziwnej poczuć wspólności.

Łódź, 1.XI.1978

JÓZEF HENRYK
WIŚNIEWSKI

ZADUSZKI

Nasłuchuj stuku ziemi
czułki oszronionemi

w dniu dzieciństwa twojego
zmarły się przegłąda

lepiej on niż twa pokuta
choć niezawiniona

na swój dzień ostatni
zasię bacz

od chwili urodzenia
idziesz w cmentarz

ciemne ciemne
twoje drogi
uchodź duszę
ocal nogi



Foto: W. Matek

Przy asfaltowej drodze, biegnącej
w kierunku północno-zachodnim,
stoją wiaty na przystankach autobu-
sowych, skąd codziennie dziesiątki
ludzi odjeżdżają do fabryk. Rogatki
Pabianic. Z jednej strony kominy
fabryczne, z drugiej płaskie pola, i
wiedząca zieleni jesieni, nowoczesne
zagrody chłopskie. I piękne wille ty-
powo podmiejskie wsi. Jest tutaj
ponad 140 „numerów”, 200 właścicieli,
około 300 rodzin, a rolników
prawdziwego zdarzenia ponad 20,
resztą bowiem stanowią chłoporobot-
nicy.

Ludzie dostawali ziemię z parcele-
cji, nieraz w kilku kawałkach, toteż
wąskie działki chłopskie ciągną się
kilometrami, rozdziałając grunty na-

leżące do Rolniczej Spółdzielni Pro-
dukcyjnej, która nie ma warunków
do rozwoju, bo z prawa miasto, z le-

jazdu i trzeba je wydzierżawiać
chłopom. Nawet tak pobieżne zarysowanie

Ryszard Binkowski

W PIĄTKOWISKU

wa pola rolników. Co trzecie gospodar-
stwo — droga, którą jeździ po
dwóch rolników. A RSP ma liche
budynki i 150 ha rozdrobnionych
gruntów, w tym około 10 ha w dział-
kach, do których w ogóle nie ma do-

sytacji wskazuje, iż w Piątkowisku
niezbędne było scalenie i wymiana
gruntów.

W Piątkowisku przez rok praco-
wał geodeta. Zwieziono tony słup-
ków z kamienia łupanego. Słupki te

zostały wkopane w miejscach, ozna-
czających granice nowych działek.
Dokonano komasacji, ale zarówno
RSP, jak i chłop, pozostali na
swoich gruntach.

Jedni twierdzą, że chłop się sprze-
ciwił, bo mieli pretensje do byłego
prezesa spółdzielni produkcyjnej.
Drudzy oświadczają, że chłop na-
wet chętnie sprzedaliby ziemię, ale
na działki budowlane. Owszem, byli
tacy, co chcieli sprzedać spółdzielni,
ale daleko i w kawałkach, spółdziel-
nia mogłaby się zamienić z chłopem,
ale co zrobić ze stodołą, co stoi na
jego działce? Jeśli jednak ziemia
chłopska była przyległa, to spółdziel-
nia kupowała.

Dalszy ciąg na str. 5

J. STANISŁAW KNYPL

Woda na studencki ogień

Głos ten — po co?

Z redakcyjnej dyskusji („Odgłosy” nr 40/1191
z dn. 5.10.1980) oraz z wielu innych źródeł wiemy,
czego chcą studenci. Po stronie praw i przywile-
jów chcą sporo — a zwłaszcza, by podczas stu-
diów traktowano ich poważnie, oddając pełnię
praw do samostanowienia, i dopuszczając do rza-
dów uczelni na równi z reprezentacją profesury;
by zagwarantowano im satysfakcjonującą pracę;
i nieledwie by zapewniono im owo „szczęście ro-
dzinne”, wybijające się na pierwszy plan w an-
kiecie, wzmiankowanej przez red. Małgorzatę Go-
licką.

Przyklasnąć by tym aspiracjom można, gdyby
skojarzone były z odpowiedzią na pytanie — co
w zamian? Tymczasem studenci milczą o obo-
wiązkach. Ukończenie osiemnastu lat to jeszcze
nie dojrzałość. Człowiek w miarę dojrzały to taki,
który rozprawiając o dobrach jakie chciałby mieć
jednocześnie pamięta o ich ocenie; który rzeczy-
wistą pracą daje więcej niż bierze. Jeśli żądaniom

nie towarzyszy gotowość dawania, to są to żąda-
nia rozkapryzonego jedynaka! Dopóki tej praw-
dy student nie zechce zrozumieć, dopóty będzie
traktowany jako stworzenie infantylne społecznie,
choć wedle metryki dorosłe.

Czy nie jest przejawem infantylizmu stwierdze-
nie z deklaracji Niezależnego Związku Studentów
Łódzkich, iż celem tej organizacji jest m. in.
„obrona godności osobistej i statusu społecznego
studenta” („Odgłosy” nr 41/1192 z dn. 12.10.1980)?
Żadna organizacja nikomu godności osobistej nie
doda, jeśli sam zainteresowany o nią nie zadba
godnym postępowaniem.

Edukacja bywała obiektem niewydarzonych
eksperymentów; młodzież zaś wykorzystywano do
pieczenia mięs, nie zawsze mile pachnących. Prze-
to nie można cicho przysłuchiwać się wypowie-
dziom urzędników ministerialnych o demokra-
tycznym zarządzaniu uczelniami przez studentów,
administratorów, profesorów i czynniki społeczne
— bo słowo rychło ciąłem stać się może, zwię-
sza iż pojęcie demokracji to sprawa nader
względna. Przeto w porę ustosunkować się też
należy do postulatów w rodzaju tych, wysuwa-

Dalszy ciąg na str. 8

Andrzej
Makowiecki

bieżnia ma tylko cztery zakręty

1.

11 października, podczas Ple-
num Komitetu Łódzkiego, za-
brał głos Włodzimierz Wszelaki,
I sekretarz KZ w „Delcie”. Je-
go wystąpienie zwróciło na sie-
bie uwagę.

DELTA to Zakłady Przemysłu
Dziwiarskiego im. T. Duracza z sie-
dziłą przy ul. Nowotki 65. W sierp-
niu i wrześniu, solidaryzując się z
robotnikami Wybrzeża, DELTA nie
przerwała pracy. Były dyskusje, po-
stulaty, żądania, ale maszyny grały
swoją codzienną melodię. 3 paździer-
nika w zakładzie „B” (konfekcja),
część załogi przystąpiła do strajku
ostrzegawczego, przy czym, obok
poparcia dla niezależnego nurtu
związkowego, był to przede wszyst-
kim sprzeciw wobec złego zaopatrze-
nia Łodzi w mięso, wędliny, opał,
cukier i ziemniaki.

10 października, z inicjatywy tego
samego zakładu (konfekcja) odbyło
się w pomieszczeniach fabrycznych,
na przełomie pierwszej i drugiej
zmiany, spotkanie robotników z Jó-
zefem Kościelskim, wiceprzewodni-
czącym Międzyzakładowego Komite-
tu Założycielskiego NSZZ „Solidar-
ność”. Władze „Delti” zapewniły ze-
branym odpowiednie warunki spot-
kania: mikrofony na sali głównej
oraz radiofonizację innych sal, tak,
aby ci, którzy stali akurat przy ma-
szynach, również mogli wysłuchać
dyskusji. Oświadczone jednocześnie,
że na życzenie pracowników podobne
spotkania można zorganizować
także na terenie pięciu pozostałych
zakładów (DELTA jest rozproszona
w różnych częściach miasta).

Dalszy ciąg na str. 3

JACEK INDELAK

Miedzy plotką a prawdą

— Panie wojewodo, czy ma pan
psa? — pytam wojewodę piotrkow-
skiego, Leszka Wystockiego, w roz-
mowie długiej i trudnej, dotyczą-
cej spraw publicznych i prywatnych,
w większości kontrowersyjnych i
drażliwych.

Pytanie podyktowane jest zarzu-
tem, jaki usłyszałem od mieszkańca
stwierdził wprost:

Piotrkowa Trybunałskiego, który
— Chciałbym mieć tak dobrze, jak
pies naszego wojewody. Wie pan, że
w pięknej mureowanej psiej budzie
zainstalowano nawet grzejniki, a
wybieg dla psa wyłożono sztywnym
kocem marmurowym.

— Ta psia budza jest jedną z wielu
plotek, insynuacji i pomówień — od-
powiada wojewoda — jakie krzący
zaczęły ostatnio w naszym mieście.
Plotka w moim przypadku zupełnie
chybiona, bo jak na razie nie mam
i nie miałem żadnego psa. Psa ma
towarzysz Skłodowski, ale — proszę
wybaczyć — nie wiem nawet, czy
pies ten ma jakąkolwiek budę.

1.

Domniemana, czy faktyczna psia
buda nie była — oczywiście — po-
wodem naszej ostatniej wizyty w
Piotrkowie.

Sprawdziły nas tu z jednej stro-
ny — sygnały Czytelników, z dru-
giej zaś — zamiar sprawdzenia skut-
ków, jakie wywołał opublikowany na
łamach „Odgłosów” w nr 22 z 1
czerwca 1980 roku reportaż pt.
„Piotrków — czas terazniejszy”.

W publikacji tej wytknął wódtom
Piotrkowa kilka spraw, związanych z
programem inwestycyjnym, towarzyszą-
cym przygotowaniu i obchodom Centra-
lnych Dożynek w 1979 roku, świętowa-
nych — jak pamiętamy — w stolicy tego
województwa.

Dalszy ciąg na str. 4

Najmniejsze w kraju województwo, wysoce zurbanizowane, gdzie 91,5 proc. ludności stanowią mieszkańcy miast, i gdzie na mieszkańca przypada zaledwie 0,9 ha ogólnej powierzchni użytków rolnych, stanowiąc przedmiotem specyficznym problemem wyżywienia mieszkańców, wynikającym z poważnej dysproporcji pomiędzy wielkością zapotrzebowania na artykuły żywnościowe, a możliwościami produkcyjnymi słabo rozwiniętego rolnictwa. Uchwała Rady Narodowej Miasta Łodzi z dnia 27 lutego 1976 roku zakładała, że skoro sami nie wyżyjemy się ze skrawków rozdrobnionej ziemi, jakie nam z łaski zostawiono, to przynajmniej powinniśmy dążyć do poprawy zaspokojenia potrzeb na artykuły rolne z produkcji własnej. Niekorzystne warunki atmosferyczne, ograniczenia inwestycyjne oraz niedostateczne zaopatrzenie w środki produkcji, m.in. w nawozy mineralne pasze przemysłowe i komponenty, środki ochrony roślin, folie, części zamienne i materiały budowlane — sprawiły, że nawet ten skromny program nie został w pełni zrealizowany. Założenia programowe wykonano z powodzeniem jedynie w trzech dziedzinach: uprawy warzyw pod osłonami — 102,7 proc., pogłowie trzody chlewnej — 106 proc., wydajność mleka od krowy — 100 proc. Wprawdzie mimo niewykonania założeń programu, osiągnięto dodatnią dynamikę produkcji rolniczej w porównaniu ze stanem z roku 1975, ale zaspokaja to potrzeby żywnościowe aglomeracji tylko w niewielkim stopniu. I mieszkańcy Łodzi te wyniki wcale nie cieszą. Nie interesuje go statystyka, bo w sklepach nadal nie ma co kupić.

Wszystko co najgorsze zważyło się w bieżącym roku. Kiedy piszę te słowa (28 października), sprawa zaopatrzenia w ziemniaki przesłoniła nawet kłopoty z podażą mięsa. Ostatecznie kawałek mięsa można zjeść raz na tydzień ziemniaki natomiast trzeba jeść codziennie.

Co się dzieje? Przecież nigdy dotąd nie było żadnych kłopotów z ziemniakami. Jesteśmy potentatem światowym w produkcji tych roślin i jeśli orzywać wieloletnią średnią plonów, to rocznie zbieramy 40 mln ton, a na zimowe zapasy dla ludności potrzeba zaledwie 1,5 mln ton. Czy wobec tego na zły stan zaopatrzenia wpłynęła tylko tegoroczna pogoda? Tak, ona również. W naszym małym województwie, przyrównywanym do znaczka pocztowego na mapie, w bieżącym roku trzeba było wypłacić rolnikom 118 mln zł odszkodowania tytułem strat wynikłych ze złych warunków pogodowych. Plony ziemniaków są o połowę niższe, przeciętnie o 100 q z hektara. 2,400 ha ziemniaków wygniło i trzeba je było zaozać, a z 12 tys. ha zebrano plony niskie, ponieważ brak środków ochrony roślin spowodował, że plantacje te zniszczyła zaraza ziemniaczana. Szacuje się, że globalny zbiór wyniesie 173 tys. ton, podczas gdy na wyżywienie inwentarza potrzeba 178 tys. ton. I teraz jest tak, że rolnicy — hodowcy trzody i bydła — jeżdżą po kraju, żeby kupić ziemniaki dla swoich zwierząt, a na potrzeby ludności województwa miejskiego nie ma już nic. WSS „Społem” żąda dziennie 12 ton ziemniaków, żeby zaspokoić bieżące potrzeby. A gdzie zapasy?

Są jednak regiony, gdzie ziemniaki obrodziły w miarę dobrze. Władze jednak nie zwróciły uwagi na fakt że w kraju przeciętne plony będą niskie. Cena skupu, równa 250 zł za kwintal, doprowadziła do tego, że rolnicy zakupowali ziemniaki, gdyż lepiej opłaca im się zastrzymać je na żywienie trzody chlewnej, zwłaszcza że nie ma pasz treściwych. To był pierwszy błąd ze strony władz. Jeden z wielu popełnianych w polityce rolnej. Ceny skupu były niższe od kosztów produkcji i środków produkcji. Do dziś 1 kg ziemniaka kosztuje tyle, co 1 kg flaka 125p. W październiku władze centralne popełniły drugi błąd, nakazując Łódź obniżenie ceny ziemniaków na rynku z 6 zł do 5 zł za kilogram. Na szczęście prezydent Niewiadomski zdecydowanie odrzucił ten nakaz, bo sytuacja stałaby się jeszcze bardziej dramatyczna.

Dzisiaj rolnik może otrzymać na kupie 4 zł za kilogram ziemniaków oraz prawo

zakup 20 kg paszy i 30 kg węgla. Mimo to utrzymuje się silna konkurencja ze strony sprzedaży wolnorynkowej i ziemniaki trzeba po prostu wyzbywać. W poprzednich latach, gdy nie było zbytu na wolnym rynku, gees i spółdzielnie ogrodnicze musiały przyjmować wszystkie dostawy od rolników. Ie wtedy było kłopotów z magazynowaniem. Dopiero w 1979 roku rozpoczęto budować w Łodzi przechowalnię na 10 tys. ton, co stanowi zaledwie połowę potrzeb w gromadzeniu zapasów na zimę. Ie ziemniaków marnuje się przez to w piwnicach blokowych, które w ogóle nie nadają się na przechowalnię. Troska zakładów pracy o zaopatrzenie pracowników w ziemniaki zasługuje z jednej strony na pochwałę, z drugiej jednak wynika z tego straty.

Któż więc nam da te ziemniaki? Okazuje się, że ościnne województwa to już inna Polska. Chłopi jadący z ziemniakami do województwa miejskiego zostają na granicy zatrzymywani przez milicję i odsyłani do domu. Komu na tym zależy? Indagowany w tej sprawie na posiedzeniu Rady Narodowej Miasta Łodzi i sekretarz KŁ PZPR — B. Koperski oświadczył, że dzwonił do przedstawicieli władz sąsiednich województw, ale oni stanowczo wszystkimu zaprzeczają. A przecież są to fakty bezsporne. Wiadomo też że po województwie sieradzkim grasują wysłannicy ze Śląska i wykupują ziemniaki nielegalnie, proponując nawet 1.000 zł za kwintal. Ponadto ziemniaki wykupuje od chłopów także wojsko. To prawda, że województwa ościenne są gorzej zaopatrzone w artykuły przemysłowe, nie na-

KTO NAM DA?

leży się więc dziwić, że słyhać stamtąd głos: „Dajcie nam odciec, a damy wam ziemniaki”. A przecież 30 proc. zatrudnionych w łódzkim przemyśle dojeżdża z województw ościennych, korzysta z łódzkich barów, stołówek i sklepów. Przed „Centralem” i „Uniwersalem” wciąż stoją samochody z rejestracją piotrkowska, sieradzka, skierniewicka, płocka. Od nas można wywozić, ale przywozić do nas to już nie. Łódź jednak nie może się zamknąć. Łódź musi jeść. Taka sytuacja nie sprzyja odnowie. Zmęczone trzymianową pracą kobiety łódzkie zaczynają mówić z goryczą: „Po co nam związki i statuty? Dajcie nam jeść!”

Trzeba się uzbroić w heroiczny optymizm. Wiceprezydent Lech Krowirada jeździ po województwach ościennych, skąd aktualne dostawy stanowią 10—12 proc. potrzeb, zapuszcza się także do województw śluskiego i sieradzkiego. Tam są ziemniaki i pegeery mają obowiązek dostarczyć je do Łodzi. Miasto ma także otrzymać ziemniaki jadalne z tych, które uprzednio miały być przeznaczane dla przemysłu. Będzie więc mniej wódki, spirytusu, co nikomu nie zaszkodzi, i mniej mączki ziemniaczanej, ale będzie co wrzucić do garnka. Ponieważ zbiory tegorocznych ziemniaków będą gnić w kopcach i straty mogą wynieść nawet 40 proc., zdecydowano przechować 18 tys. ton (miejmy nadzieję, że tyle się zgromadzi) w amerykańskiej przechowalni przy Zakładach Przemysłu Ziemniaczanego w Głownie. Oznacza to, że produkcja w zakładach będzie wstrzymana. Sama inwestycja kosztowała 720 mln zł, a za urządzenia licencyjne zapłacono 5,5 mln dolarów. Kiedy pół roku temu pisałem o zakładzie w Głownie, nikt nie chciał kupować znakomitą purę ziemniaczaną, zwanego „Puchem” lub „Perłą”. Dziś w sklepach tego nie ma.

Zdaje sobie sprawę, iż z tego, co piszę, przebijają mały partykularyzm. Ale przecież te same odczucia nekają każdego zdenierowanego człowieka, gdy ma pusty żołądek. I nikogo nie pocieszy fakt, że w IV kwartale Łódź otrzyma towarów na rynek za 13 mld zł, czyli o 1,5 mld więcej, skoro do zaspokojenia potrzeb za-

braknie artykułów za 1,2 mld. Potrzeba 23 tys. ton ziemniaków, 18 tys. ton warzyw i 4 tys. ton owoców, a tymczasem pod dostatkiem może być tylko marchwi, selerów i porów. Cebuli wystarczy jedynie na potrzeby bieżące. Na rezerwę zimową trzeba oczekiwać cebuli z importu, który wyniesie 1.000 ton dla województwa.

W ostatnich latach rolnictwo w Polsce nie dostało 2 mln ton nawozów, przez co zebrano 10 mln ton zboża mniej. Dotyczy to również województwa miejskiego, gdzie sytuację pogarsza fakt, że mokre ziarno trzeba wozic na odległość 70 km, bo nie ma go gdzie suszyć i młóć, gdyż dwa młyny w Łodzi i Pabianicach pracują resztkami sił. To, ile będziemy mieć maki, kaszy, płatków zbożowych i ryżu, zależy od centralnego rozdzielnika.

W województwie miejskim, w porównaniu z rokiem 1976, produkcja jaj wzrosła z 18 do 61 mln sztuk, mleka zaś z 61 do 85 mln litrów, ale stanowi to zaledwie trzecią część potrzeb. Mimo to mleka i śmietany ma być w IV kwartale pod dostatkiem. Mniej będzie serów dojrzewających, masła i czekolady. Pał licho czekoladę, ale dlaczego masła? No cóż, jeśli brakuje smalcu i margaryny, to trzeba wykupywać masło. Niska będzie podaż kapusty kwaszonej (brak kwaszarni), ogórków konserwowych i przecierów pomidorowych. Władze zastanawiają się, czy nie ograniczyć upraw kwiatów w szklarniach kosztem produkcji warzyw. Nie ma na rynku przetworów owocowych, ponieważ w okresie nasilenia zbiorów zabrakło cukru.

Tylko chleba nie powinno nam zabraknąć. 25 proc. pieczywa pochodzi już z małych piekarni osiedlowych i tam przede wszystkim powinna znaleźć się mąka. Na marginesie warto jednak wtrącić, że mieszkańcy Pabianic skarżą się, iż z piekarni pabianickiej bułki wędrują do... Bełchatowa.

Jeśli chodzi o mięso i przetwory, to zaznacza się spadek pogłowia, a co za tym idzie niska podaż żywności. Jest wiele przyczyn tego zjawiska. Ostatnio dowiedziałem się, że w województwie nie zbudowano zaplanowanych 10 tys. stanowisk inwentarskich. Więc gdzie tu „mowa o rozwoju hodowli”? Nicco lepiej przedstawia się sprawa zaopatrzenia w drobi. Byłoby lepiej, ale ogólnie zamrożono trzy duże fermi drobiarskie, przez co tracimy kilka tysięcy ton mięsa. Gdyby jednak te fermie zbudowano, potrzebna byłaby ubojnia brojlerów. Łódź ma korzystać z uboju w Kutnie, ale tam jeszcze takowej nie zbudowano, widocznie jest im niepotrzebna.

Problem zaopatrzenia w przetwory mięsne próbuje się poprawić doraznie poprzez zmniejszenie asortymentu wędlin oraz dzięki poprawie ich jakości którą można uzyskać poprzez obniżenie zawartości tzw. substytutów, głównie kazeiny i białka sojowego. Jakże będą tego efekty, wkrótce się przekonamy. Jeżeli przedstawiona przez władze centralne propozycja reglamentacji mięsa znajdzie powszechne uznanie, to od grudnia możemy mieć mięso na kartki. Na kartki ma być również masło. Cukier będzie się „przedawał” wyłącznie na bony, nadzwiska zaś zostanie skierowana do produkcji, aby zapełnić puste półki sklepów cukierniami, herbatnikami i innymi wyrobami cukierniczymi oraz przetworami owocowymi.

Trzeba stwierdzić bez złosnek, że województwo miejskie łódzkie, jeśli chodzi o rynek żywnościowy, znalazło się w nader trudnej sytuacji. Stało się tak m.in. dlatego, że kredyty na inwestycje w rolnictwie i przetwórstwie nie „nadały się” w rękach władz wojewódzkich. Prezydent nie mógł przesunąć inwestycji, gdyż wszystko było ustalone z góry. To, że łódzkie rolnictwo nie może zaspokoić w pełni potrzeb żywnościowych aglomeracji, przez co uzależnieni jesteśmy od centralnego rozdzielnika, wynika także z podziału administracyjnego. Przesłaliśmy więc o tym pójgłębkiem, wstydliwie, bo powszechnie wiadomo, że zamknięcie województwa w obecnych granicach nie wyszło Łodzi na dobre. Ale to jest już odrębny temat, który należy wkrótce podjąć. I to nie tylko w prasie.

R. B.

„DO TRZECH RAZY SZTUKA”

W zamieszczonych w numerze 42 „Odgłosów” z br. napastliwych zwierzeniach ob. Romana Gorzelskiego pt. „Do trzech razy sztuka, znalazło się stwierdzenie, że „pan Jazdyński (...) jako prezes Oddziału Łódzkiego ZLP, chodzą po redakcjach wraz z Zarządem i namawiał (groząc przy tym) te redakcje, aby moich tekstów nie publikowano”.

W związku z tym oświadczam, że, niżej podpisanemu, bezpartyjnemu pisarce, członkowi ówczesnego Zarządu Oddziału Łódzkiego ZLP za kadencji kol. Wiesława Jazdyńskiego, kategorycznie protestujemy przeciw tej insynuacji, pomawiającej nas o takie praktyki. Jako pisarz, będący poza partią, nie mieliśmy nigdy żadnego wpływu na program masowych środków przekazu i jego realizację personalną.

Ob. Roman Gorzelski został przyjęty do ZLP w bieżącym roku. Wyrażamy głębokie ubolewanie, że już w pierwszym roku swej przynależności do naszego twórczego związku, będzie musiał się rozliczyć ze swego postępowania wobec Sądu Koleżeńskiego.

Stanisław Kaszyński
Józef Maciej Kononowicz
Andrzej Ostoj-Owsiński
Tadeusz Papier

Łódź, 25.10.1980.

Z dużym zdziwieniem i skocznością przeczytałem w „Odgłosach” z dnia 19 października br. w artykule p. Romana Gorzelskiego pod tytułem „Do trzech razy sztuka” takie oto stwierdzenie: „Zresztą tenże pan Jazdyński swego czasu, jako prezes Oddziału Łódzkiego ZLP, chodzą po redakcjach wraz z Zarządem i namawiał (groząc przy tym) te redakcje, aby moich tekstów nie publikowano, jak mi doniósł o tym red. Sikorski — wówczas szef „Kalejdoskopu”.

Szanowny p. Romanie Gorzelski — coś niecoś jeszcze w Tobie centem — ale wkładanie w moje usta zdania, którego nigdy nie wypowiedziałem (nawet nie znam nazwiska członków Zarządu ZLP sprzed ośmiu czy dziesięciu lat) co najmniej nie łączy z człowiekiem tak poważnym jak Ty. Znam wielu pisarzy, gdzie wystarczy samo nazwisko np. — Wiesław Jazdyński.

Ale są, jak widać i tacy pisarze, że o ich przynależ-

ności do ZLP dowiadujemy się z podpisów w prasie.

Czyżby to kompleksy? Szanowny p. Romanie Gorzelski — nie tylko pieszcz fakty, ale i nazwiska, a to już bywa niebezpieczne, zwłaszcza u człowieka, który ponoć zawsze stara się pisać prawdę.

Ponadto nie znam żadnego zakazu publikacji tekstów p. Romana Gorzelskiego i nigdy o takim zakazie nie słyszałem. A może tu chodzi o coś innego? Ale to Szanowny p. Romanie Gorzelski jeszcze gorzej w moich oczach o panu świadczy.

Bogusław Sikorski

„ROZMYŚLANIA W SALI OBRA”

Red. L. Włodkowski
Szanowny Panie Redaktorze!

W „Rozmyśleniach w sali obra” (Odgłosy z 19 października 1980) zacytował Pan dwa fragmenty z mego wystąpienia na plenarnym posiedzeniu Komitetu Łódzkiego PZPR. Jedno z nich, wyjęte z kontekstu i stanowiące część zdania, interpretował Pan wbrew moim intencjom, czując się więc zobowiązany do reakcji. Przemawiając, nie mogłem notować własnego tekstu. Nie przygotowałem go też na piśmie wcześniej. Wiem, że dokonywano nagrań i cały tekst jest zapewne do odtworzenia. Nie posądzam Pana o zamysł deformacji. Być może miał Pan kłopoty z dotarciem do tych nagrań. Mam pewność co do moich intencji, a i przytoczony przez Pana fragment pierwszy je potwierdza. Szło mi o to, byśmy nie pozwalali ujmować sobie swobód w okresach względnego zadowolenia, przypominając znow o nich, kiedy jest gorzej. Jestem przekonany, że całe zdanie, którego fragment Pan cytuję, taki sens zawiera. Jest to do sprawdzenia. Trudno mi się pogodzić z proponowanym przez Pana „odwracaniem poglądów” zwłaszcza, że w wystąpieniu mówiłem dość wyraźnie o demokracji jako warunku należytego funkcjonowania także gospodarki.

Szkoda, że wystąpienia dyskutantów nie są przedstawiane w całości, lub choćby w dokładniejszych omówieniach, w żadnej z łódzkich gazet tak, żeby nie było wątpliwości co do ich sensu przynajmniej.

Z poważaniem
Kazimierz Michałowski
I sekretarz KU PZPR
w Uniwersytecie Łódzkim

A JEDNAK SPRAWA BYŁA

5 października 1980 roku, w numerze 40 „Odgłosów”, opublikowaliśmy reportaż Jacka Indelaka pt. „Prawda to nie tylko wynik, lecz także droga”, dotyczący zarzutów wysuwanych przez mieszkańców województwa skierniewickiego, pod adresem wicewojewody skierniewickiego, Władysława Gali.

„Dziennik Popularny” w numerze 232 z dnia 24, 25 i 26 10.1980 r. poinformował:

„Aktualne problemy społeczno-gospodarcze województwa były tematem wczorajszej sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej w Skierniewicach. Obradami kierował przewodniczący WRN, I sekretarz KW PZPR — Janusz Kubasiewicz. Podczas sesji wojewoda skierniewicki, Stanisław Barański, poinformował radnych, iż w związku z niekorzystną atmosferą, jaka wytworzyła się wokół osoby wicewojewody, Władysława Gali oraz faktem podjęcia w tej sprawie przez Prokuraturę Wojewódzką postępowania wyjaśniającego, 20 bm. wystąpił do prezesa Rady Ministrów o odwołanie Władysława Gali z zajmowanego stanowiska”.

Madrytu. Z Warszawy zabramiały znowu wspólny głos pokoju. Ministrowie dali wyraz oczekiwaniom państw wspólnoty socjalistycznej, że listopadowe spotkanie rozwinie proces odprężenia i wskazały płaszczyznę, na których to byłoby jak najbardziej pożądane. Zadeklarowali też gotowość państw socjalistycznych do stworzenia po temu odpowiedniej atmosfery.

Na inne wydarzenia tygodnia nie pozostaje już wiele miejsca. Dlatego zwrócimy uwagę tylko na dwa: powstanie nowego rządu we Włoszech i powrót Grecji do NATO.

Czterdziestyśmiósto wojnie rząd włoski powstał po stosunkowo krótkim kryzysie — 20-dniowym. Jak wiadomo, na jego czele stoi Arnaldo Forlani, a gabinet składa się z przedstawicieli czterech partii: chadeckiej, socjalistycznej, republikańskiej i socjaldemokratycznej. To, co najbardziej charakterystyczne dla nowego składu, łączy się ze zmianą układów wewnętrznych w chadech. Otóż poprzedni rząd składał się wyłącznie z tych chadeków, którzy opowiedzieli się na ostatnim kongresie partii przeciwko wszelkiej współpracy z komunistami. Nowy natomiast ma również reprezentantów tych 43 proc. delegatów, którzy wówczas głosowali przeciwko antykomunistycznej preambule. Praktycznie oznacza to, że obecny gabinet będzie silniejszy.

W. ŚLAWSKI

TYDZIEŃ W POLITYCE

W Warszawie obradował Komitet Ministrów Spraw Zagranicznych Układu Warszawskiego. Treść narady wyrażona została w końcowym komunikacie i sprowadza się do ośmiu zawartych tam punktów:

Po pierwsze — stwierdzono jednomyślnie, iż majowe oceny Doradczego Komitetu Politycznego (przypominamy: obrady toczyły się w Warszawie) sprawdziły się w minionych miesiącach i rozwój wydarzeń nadaje jeszcze większą aktualność zawartym tam propozycjom, zmierzającym do pogłębienia polityki odprężenia, umocnienia bezpieczeństwa i współpracy oraz zahamowania wysiłku zbrojeń.

Po drugie — uczestniczące w obradach państwa, z myślą o realizacji celów zawartych w Akcie Końcowym helsińskiej konferencji, opowiadają się za wzmożeniem kontaktów i dialogu ze wszystkimi państwami Europy i świata. „Należy konsekwentnie dążyć do uregulowania wszystkich problemów międzynarodowych pokojowymi środkami politycznymi, drogą rokowań, na zasadzie równouprawnienia i posza-

nowania prawowitych interesów każdego narodu.”

Po trzecie — w aktualnej, wciąż złożonej sytuacji, wzrasta znaczenie spotkania madryckiego przedstawicieli państw uczestników KWBE, które rozpocznie się 11 listopada. Możliwość, jakie ono stwarza, powinny być wykorzystane dla potwierdzenia polityki odprężenia, a więc wypracowania porozumień co do dalszych praktycznych kroków w dziedzinie umacniania europejskiego bezpieczeństwa. Państwa reprezentowane na naradzie Komitetu Ministrów wniosła ze swej strony wkład w konstruktywny przebieg madryckiego spotkania.

Po czwarte — spotkanie w stolicy Hiszpanii powinno zwrócić odpowiednią uwagę na rozpatrzenie militarnych aspektów bezpieczeństwa, szczególnie ważne znaczenie miałyby podjęcie decyzji o zwołaniu konferencji odprężenia militarnego i rozbrojenia w Europie. Można by tam ustalić porządek dzienny, termin i miejsce konferencji.

Po piąte — opowiedziano się, aby spotkanie madryckie podjęło skuteczne środki w celu intensyfikacji współpracy w dziedzinie gospodarki, nauki i techniki oraz ochrony środowiska. Szczególne znaczenie ma współpraca w dziedzinie energetyki i zwołanie w tej ważnej sprawie ogólnoeuropejskiego kongresu.

Rozpoczęty w Helsinkach proces umacniania odprężenia, utrwalania bezpieczeństwa i roz-

woju równoprawnej współpracy między wszystkimi uczestnikami powinien być kontynuowany. Dlatego też państwa Układu Warszawskiego będą gotowe do ustalenia na madryckim spotkaniu odpowiednich warunków do przeprowadzenia kolejnego spotkania tego rodzaju i wspierają propozycję Rumunii, aby jego miejscem był Bukareszt.

Po szóste — państwa-strony Układu Warszawskiego wyrażają zadowolenie ze ZSR i USA rozpoczęły rozmowy na temat broni jądrowej średniego zasięgu w Europie i amerykańskich środków nuklearnych, rozmieszczonych w wysuniętych bazach.

Po siódme — nasze kraje przypominają, że w lipcu br. wysunęły w Wiedniu nowe, kompromisowe propozycje, na temat wzajemnej redukcji sił zbrojnych i zbrojeń w Europie środkowej i wyrażają przekonanie, że państwa zachodnie wykażą polityczną wolę rozwiązania rozpatrywanych tam problemów.

I po ósme — uczestnicy narady potwierdzają znaczenie również innych propozycji, wysuniętych w maju przez Doradczy Komitet Polityczny i gotowe są przystąpić do poważnych i rzeczowych rozmów na temat każdej z nich.

Tak płołem komentatora przedstawia można w streszczeniu treść komunikatu narady Komitetu Ministrów. Spotkanie, jak łatwo zorientować się, miało na celu przygotowanie do

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIR BINKOWSKI KONRAD FREIDLICH, MAŁGORZATA GOLICKA, JERZY KATARASINSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (ręcz redaktora naczelnego), INDEKAR, EUGENIUSZ IWANICKI, RYSZARD LUCYNSKI (fotoreporter), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWICKI, JERZY RYMOWSKI, TOMASZ SOLTENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: ANDRZEJ BIAŁY, TADEUSZ BIAŁOZIĘBSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, GRZEGORZ GAZDA, ANDRZEJ F. GRABSKI, PAWEŁ JEDRZEJSKI, MARIA KĘPINSKA, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORLOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANIKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELC, WITOLD ŚLAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GŁANC, JERZY WILMAŃSKI.

Dalszy ciąg ze str. 1

18 października, w Komitecie Zakładowym DELTY, zadaniem Włodzimierzowi Wszelakiemu pierwsze pytanie:

— Jak to się stało, że jako jeden z nielicznych sekretarzy zakładowych w Łodzi, uznał pan zasadność powstawania nowych, niezależnych związków?

— Nie wiem, czy jako jeden z nielicznych. Znam wielu kolegów sekretarzy, którzy myślą podobnie. Nie dostrzegam u nich elementów uprzedzenia.

— Ale tylko pan poruszył tę kwestię na plenum.

— Może to po prostu przypadek. Zresztą, nie mówiłem wyłączenie o związkach.

— Bronią ich jednak: czego się pan spodziewa?

— Zaczę od początku. Proces, który obecnie odbywa się w Polsce, jest (choć lepiej byłoby powiedzieć: musi być!) nieodwracalny. Wynika on z określonych zjawisk, kształtujących na przestrzeni dłuższego czasu. Wszędzie. W pracy, na ulicy. Zanik autentycznego życia publicznego, wszechobecna, rozdymana nie tylko przez telewizję i gazetę, skądinąd zresztą całkowicie przeciwna nastrojom społecznym, propaganda sukcesu. Kłamstwa w biurach, korupcja w urzędach; w fabrykach z kolei cała masa form, które istniały tylko instytucjonalnie.

— Na przykład...

— Na przykład samorządy robotnicze, które miały niby przesłanki formalno-prawne, aby realizować swoje postulaty, ale rzadko je realizowały. Na przykład nie istniejące już konferencje przedstawicieli samorządów robotniczych w branżach — typowa nadbudowa instytucjonalna, bez żadnych szans realizowania idei samorządności. Na przykład zlikwidowane, albo lepiej powiedzieć — zanikające krajowe narady przedstawicieli samorządów robotniczych, które, zwłaszcza pierwsza (byłem jej uczestnikiem), jasrawo odzwierciedlały niedomogi naszej gospodarki. Była to jednak mowa do pustej ściany. Na przykład powoływane przy I sekretarzach komitetów miejskich i wojewódzkich zespoły do spraw samorządności robotniczej... Jak to rozumieć? Samorządność to samorządność! Nie powinna podlegać żadnemu dyktowaniu administracyjnemu.

— Wracając jednak do nowych związków...

— Kto chce, to do nich przystąpi. Sądzę, że powstaną w najbliższych dniach. Stoimy na stanowisku pełnej i jednoznacznej realizacji porozumień gdańskich, bez żadnych zagrywek taktycznych, uników, kombinacji.

— W momencie jednak, kiedy powstaną, o krzepną i zaczęną egzekwować swoje prawa — jak widzi pan wówczas rolę partii w zakładzie, przyjmując, że pozostałe, instytucjonalne, nie sprawdzone formy (organizacje społeczne) nie wyjdą z impasu?

— A może właśnie wyjdą? Może zacznie się wśród nich i między nimi współzawodnictwo i dyskusja? Co do partii, nie zabraknie nam zadań. Będziemy szukać z nowymi i starymi strukturami platformy porozumienia. Musi tutaj nastąpić statutowy podział ról społecznych. Jest zatem pilną sprawą opracowanie nowej ustawy o przedsiębiorstwie, ustawy o samorządzie robotniczym i ustawy o związkach zawodowych. Zakładamy oczywiście, iż wszyscy działają na gruncie socjalizmu. Kierownicza rola zakładowej organizacji partyjnej powinna, moim zdaniem, polegać na właściwej polityce kadrowej, na doborze najlepszej kadry, a więc ludzi, którzy są nie tylko dobrymi członkami partii, ale również dobrymi fachowcami, cieszącymi się w zakładzie poważaniem i sympatią. Dalej — członkowie partii znajdują się w różnych zakładowych ogniskach społecznych: w starych związkach zawodowych i w nowych, w samorządzie robotniczym, w organizacji młodzieżowych, itp. Naszym obowiązkiem jest zadbać, aby każdy z tych ludzi, gdziekolwiek się znajdzie, prawidłowo realizował linię partii poprzez swoją postawę polityczno-moralną, aktywny udział w dyskusjach i współudział w tworzeniu uchwał. Z tego będziemy naszych członków rozliczać. Zdecydowanie natomiast, jako partia, odcinamy się od operatywnego zarządzania.

2.

Podczas wizyty w DELCIE rozmawiałem nie tylko z Włodzimierzem Wszelakiem, aczkolwiek jemu w zasadzie poświęcony jest ten reportaż — nie reportaż. Za chwilę więc podejmę właściwy wątek, tymczasem...

Pytam naczelnego dyrektora zakładów, Ludwika Kluska, człowieka, który pracuje w DELCIE od szesnastu lat, jak przebiega obecnie proces produkcji w fabryce. Czy są jakieś opóźnienia w planie, jakieś zakłócenia.

Dyrektor mówi, że DELTA jest w gruncie rzeczy „na bieżąco”. W trudnych miesiącach udało się jakoś zabezpieczyć ciągłość pracy, chociaż towarzyszyły temu nieprzerwane, ostre dyskusje i całymi lawinami napływały postulaty.

Z dokumentów wiem, iż w sumie było ich: 69 — do resortu i miasta, 25 — do prezydenta brzozy Łodzi, 132 — do władz zakładu.

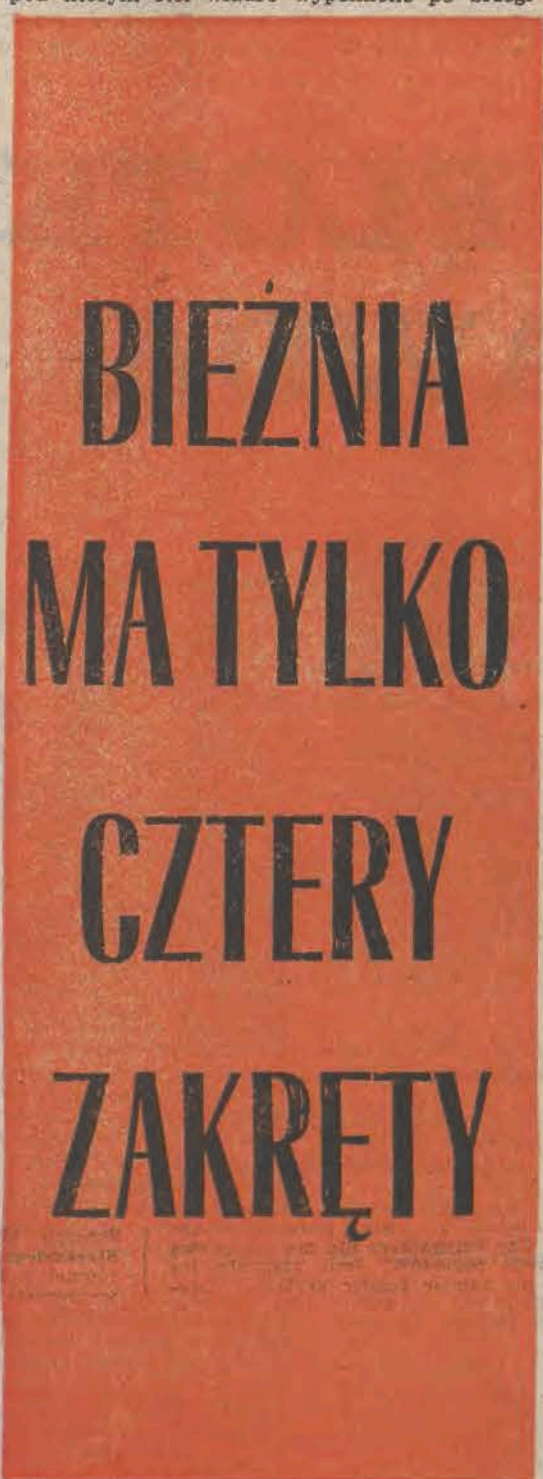
Te ostatnie zostały rozpatrzone w komplecie (aczkolwiek w ostatnim czasie wpłynęło 25 dodatkowych), a harmonogramy ich realizacji podano do wiadomości załogi. Większość dotyczy kwestii wynagrodzeń, wykorzystywania funduszu zakładowego, świadczeń socjalnych, zaopatrzenia, bhp, odzieży ochronnej, jawności życia wewnątrzzakładowego (jedno mieszkanie, jakim dysponują w roku, to oni i tak zawsze przyznawali jawnie), spraw wewnętrznych, itp. Były także postulaty nie do spełnienia: na przykład kadra inżynierska domagała się dodatku za dyplom, dzielnice — mleka (co jest niezgodne z aktualnymi przepisami), a jeden z mistrzów — aby zrównać płace wszystkich mistrzów (nie do przyjęcia, ponieważ ci ludzie różnią się między sobą stażem, zaangażowaniem i kwalifikacjami).

Dyrektor:

— Są oczywiście kłopoty: z zabezpieczeniem materiału, z przędzą, z wytęgnięciami energię, których skutki dają się odczuć szczególnie w szwalni przy Matejki.

— Co do przędzy — wtrąca przysłuchujący się rozmowie mistrz dzwiarski, Grzegorz Krasinski — jest rzeczywiście zła. Wyjątkowo zła. Wytworzono ją pod czas napięć, które panowały ostatnio w przedsiębiorstwie, gdzie dyskutowano nie przykładano się do pracy. Tak chyba należy to tłumaczyć...

— Ale dzwiarskie tłumaczą to inaczej. Ci, w każdym razie, z którymi rozmawiam w obskurnej, uwłaczającej godności człowieka stołówce obok hali produkcyjnej. Siedzę tyłem do brudnego zlewu i blaszanego samowara z kurkiem, pod którym stoi wiadro wypełnione po brzegi



herbatą sprzed czterech tygodni, a w herbatce taplają się rozmokłe pety. Ci, co siedzą przedem, krzywią się z obrzydzeniem. Trzej dzie wiarze: Romuald Kłebowski — bezpartyjny, Tadeusz Oleksiewicz — bezpartyjny i Tadeusz Parański — partyjny. Są jeszcze pod wrażeniem organizowania nowego związku. Rozmawiano dzisiaj o tym w dzwiarskim. Czego oczekują? Ano, że będzie lepiej, sprawiedliwiej, że ci z „Solidarności” ujmą się za nimi. Co ich boli? Dużo spraw. Już nie chodzi o to, że jedni zarabiają pięć, a inni pięćdziesiąt. — Jest mistrzem, nie kradnie, dobrze zarabia — niech zarabiał! Był nie zarabiał to, dwieście. Już nie chodzi o wille, samochody. Ale... dlaczego dzieli się klasę robotniczą? Pan mówi, że się nie dzieli? A my, że się dzieli! Bo widokiarza traktuje się inaczej niż górnika, stoczniowca czy hutnika. Jasne, niech oni zarabiają więcej. Taki górnik — pewnie, że haruje jak uół, naraża życie. Tyle, że widokiarz też ma prawo żyć, też ma rodzinę i dzieci, które muszą jeść. Też ma tyje w tak zwanym przemysle lekkim (szlag niech trafi faceta, który tę nazwę wymyślił), borykając się z przeciwnościami dźwigając ciężary, które mogłyby doprowadzić do szatu ferdynando na przedku hanysa.

— I co jest przyczyną tych trudności?

— Przędza.

— Wiem. Zła ostatnio, bo w przedsiębiorstwach dyskutowano zamiast pracować.

— Nie. Jest zła i była zła — mówi gwałtownie Romuald Kłebowski. — Ja tu pracuję trzydzieści pięć lat, rozumie pan? I od początku wszyscy krzyczeli: przędza! Na spotkaniach z dyrektorem: przędza! Na otwartych zebraniach partyjnych: przędza! Zróbcie coś! Pomóżcie! Przędza, przędza, przędza!

— I co?

— I nic! Akurat chce im się pomóc? Przestaliśmy w ogóle chodzić na zebrania. Bo i po diabła? Wystuchają, zapiszą i od nowa Polska Ludowa.

— Ale na czym to wszystko polega?

— Nie wie pan na czym? — uśmiechają się jeden do drugiego. — Na tym, że nasz zawód różni się od innych zawodów. W innych zawodach jak się ktoś narobi, to zarobi, u nas odwrotnie: jak się ktoś narobi to nie zarobi, nie będzie miał nawet czasu przełknąć śniadania.

— Dalej nie rozumiem.

— No więc, chodzi maszyną, a pan biega wokół niej i albo wiąże pan zerwaną przędzę, albo wymienia pan złamane igły. Raz kiedyś dawno temu, udało nam się popracować krótko czas na francuskiej i japońskiej przędzy. Wie pan, co to było? To były wczasy. To była przyjemność i to były pieniądze. W ciągu dnia, czyli w ciągu ośmiu godzin pracy, nie odda-

waliśmy ani deka odpadów, a igiel łamało się najwyżej 5—7. Niestety, sen przysnął. Wróciłmy do krajowej przędzy. Oddajemy dziennie dwa kilogramy odpadów, łamiąc sto, nieraz nawet sto pięćdziesiąt igiel. I teraz niech pan słucha! Te igły są drogie. Te igły sprowadzane są z zagranicy za ciężkie, dewizowe miliony. Więc tak na robotniczy nos, to nasza praca, nasz szczyry pot idą na marne, jeśli się zważy, że dwa kilogramy odpadów i sto połamałych igiel kosztowały pewnie niewiele mniej, niż wyprodukowana przez nas dzianina.

Rozkosz sprawia mi zadawanie głupich pytań:

— A dlaczego te dewizowe igły się łamią?

— A, bo z polskiej przędzy wyskakuje nagle głowa wielkości pięści.

— A dlaczego nie możecie zatrzymać na 15 minut maszyny i zjeść śniadania tutaj, w stołówce?

— A, bo przecież, widzi pan... — patrzą wymownie na brudny stół, zlew, samowar... — jak zatrzymujemy na kwadrans maszynę, to wyrabiamy dwa kilogramy dzianiny mniej, tracąc na tym dziesięć złotych dziennie, czyli trzydzieści złotych miesięcznie. Jemy, jak się nieraz uda, w biegu.

— A jeśli chodzi o wprowadzaną w życie podwyżkę, to jakie są wasze uwagi?

— Takie, żeby przypadkiem nie rozmydliła się ona na paskach płatniczych. Bo my, robotnicy akordowi, otrzymujemy pieniądze z czterech różnych worów. Na naszą premię składają się: cena za wyprodukowaną jednostkę, premia zwykła, premia za zespołowe wyniki pracy i nagroda z funduszu mistrzowskiego. Na wysokość podwyżki to my się godzimy. Chodzi nam tylko o to, aby była ona wyraźnie dopisana na paskach (tyle a tyle plus podwyżka), a nie rozprowadzona po wszystkich czterech worach, gdzie przy pierwszej lepszej zmianie produkcji może się całkiem zatracić.

— Wracając do przędzy — wtrąca nagle mistrz Grzegorz Krasinski. — Nie uważacie, że tak, jak wy narzekacie na przędę, tak ci z konfekcji narzekają na wasze dzianiny?

— Oczywiście. Jaka przędza, taka dzianina. Wszyscy kłmiemy się nawzajem. Ci z przedsiębiorstwa na pewno mają kogo przeklinać. Bo w takiej po prostu pracujemy branży, zaniedbanej, karmionej ochłapami.

Zegnam się z dzwiarskami. Uczciwość nakazuje mi dopisać jeszcze kilka słów: nie potwierdzają, jakoby dyrektor i sekretarz partii byli u nich częstymi gośćmi. Dyrektor podobno równy facet. Sekretarz pewnie też, ale, mówię prawdę, to go w ogóle nie znam, chociaż tak znakomicie przemawia w ich sprawie.

Wiem, że doświadczony dziennikarz nie powinien pozwalać sobie na wtręty, które psują mu klarowność wywodu. Robię jednak ten wtręt, zgodnie zresztą z dewizą Włodzimierza Wszelakiego, iż: dyskutować (pisać) powinno się pod problem i wariantowość jego rozwiązania, a nie pod określoną, z góry zaplanowaną uchwałę (też) i pod określonego człowieka.

3.

Ma czterdzieści lat, z wykształcenia jest ekonomistą, z pochodzenia synem działacza komunistycznego, zamordowanego w hitlerowskim obozie. Funkcję I sekretarza KZ w DELCIE pełni od czterech lat. Przeniesiono go tu, jak sam mówi, w tecze z pewnego zjednoczenia. Bo u nas często przenosi się ludzi w tecze. Wiecie.

Następne zdanie powinno brzmieć: w DELCIE poczuł się jak w rodzinie. Może tak i było, ale fraza wysłowiona. Odpadał! Co się wtedy innemu zdania — jeszcze rok temu ambitny nawet reporter miałby prawo napisać że: od razu z pasją przystąpił do pracy partyjnej, wgrzyzając się w problemy zakładu.

Tak również mogło być. Ale Włodzimierz Wszelaki jest szczerzy. Mówi:

— W ciągu ostatnich czterech miesięcy nauczyłem się więcej, niż w ciągu całej mojej czterdzieltniej kadencji. A chciałem tu dodać, że nie przyszedłem do DELTY bez pewnego doświadczenia. W zjednoczeniu pełniłem funkcję sekretarza POP.

Włodzimierz Wszelaki budzi również szacunek z innego powodu. Nie należy do tych, których spotykamy teraz w każdym środowisku i na każdym kroku — ludzi, którzy zapalali nagle lwia odwagę i powołując się na przeszłość, wykrzykiwali, że już dawno wiedzieli, ostrzegali, informowali. Włodzimierz Wszelaki sprząja nowym związkom, ale pozostaje w starożytności, bo TWARZY NIE ZMIENIA SIĘ NA ZAWOŁANIE, A PRZYJACIELA POZNAJE SIĘ W BIEDZIE. Włodzimierz Wszelaki nie wrzeszczy i nie ścina głów, ale z drugiej strony, nie zgadza się również z teorią że najuczciwszym i najodważniejszym człowiekiem jest dzisiaj tchórz. Bo Włodzimierz Wszelaki ma swój program.

Mówi o sobie: my, doły partyjne.

— Ale doły partyjne to potęga, a w każdym razie potencjalna potęga.

— Gdyby szeregowi członkowie partii i średni szczebel partyjny był uczciwy, dobrze poinformowany i odważny, zawsze w chwilach krytycznych mógłby tak potrząsnąć drzewem, że zleciałyby korona. Kiedyś, znalazł się taki jeden, Grabski, poparło go czterdziestu ośmiu innych... Szersze spojrzenie na problem demokracji w samej partii jest po CZTERECH OSTATNICH KRYZYSACH koniecznością. Elementem demokracji musi być nie tylko krytyka, samokrytyka czy kolegiałość, podjęcie decyzji; najważniejsze jest uruchomienie mechanizmu, który pozwoliłby dotom partii korzystać z działalności góry. Dotychczas taki mechanizm praktycznie nie istnieje. Dopóki nie będzie istniał, dopóty narażeni będziemy na kryzysy gospodarcze i kryzysy w samej partii. Tych ostatnich nikt za nas nie rozwiąże. Możemy je rozwiązać tylko sami. Ile jednak może być? Bieżnia ma tylko cztery zakręty...

— Co uważa pan za główną przyczynę dolnego szczebla partii?

— Dwoistość myślenia. Nie dotyczy to oczywiście wszystkich, ale... O ile w zakładach, w urzędach, w salach produkcyjnych, w redakcjach, toczą się burzliwe dyskusje, o tyle na wysokim forum, podczas posiedzeń plenarnych,



WŁODZIMIERZ WSZELAKI: Proces, który obecnie odbywa się w Polsce, jest (...) nieodwracalny.

Foto: M. Widerkiewicz

ci sami, wydawałoby się — odważni udzie dyskutującą asekurancko i grzecznie. Bywa również, choć rzadziej, odwrotnie. Czasami ktoś błysnie odwagą na wielkim zebraniu, porwijąc słuchaczy, a w swoim własnym, małym środowisku... no cóż, dobrze by było, aby zdecydował się wystąpić z równie szczerym, autentycznym patosem. Nawet jeśli to jest slogan, powtórzę: partii, wszystkim jej członkom, potrzebna jest pełna wiarygodność w słowach i działaniach. W naszym zakładzie na przykład robotnicy wyczuli się niebywale na każdy fałszywie brzmiący ton w emitowanych przez telewizję albo drukowanych w prasie przemówieniach. A może pan być pewny, że słuchają i czytają. Uważnie.

Włodzimierz Wszelaki nie mówi z kartki, tylko z głowy, a w głowie ma poukładane dobrze, komuś mogłoby się nawet wydać, że za dobrze. Włodzimierz Wszelaki włada bezbłędnie, ale nie efekciarską polszczyzną. Wiele swoich przemysłów wyłożył na ostatnim plenum bacznie wysłuchany przez zebranych, najbaczniej może przez tow. Barcikowskiego, którego zaprosił zresztą do DELTY (bez udziału prasy, radia i telewizji) na robocze rozmowy z załogą.

— Wspominałem między innymi — powiada — o klasowym charakterze kierownictwa partyjnych i gospodarczych. Mam na ten temat swoją teorię. Otóż, jeśli w danym środowisku: dzielnicy, mieście, województwie, dominuje jakaś klasa, to kierownikiem tego środowiska powinien być człowiek, który w swoim życiu zetknął się z tą klasą; następuje wtedy szybka więź, komunikacja i adaptacja, wzajemne zrozumienie. U nas jednak często bywa inaczej. Wystarczy sięgnąć do teczek i przestudiować życiorysy przywódców, aby przekonać się, że przed objęciem danego odcinka władzy nigdy z tym środowiskiem nie mieli do czynienia. To tak, jakby ktoś z Łodzi poszedł nagłe rzadzić na Śląsk, a ktoś ze Śląska na Wybrzeże, przy czym odnosi się to w równej mierze do mniejszej, dzielnicowo-powiatowej geografii. Nikt mnie nie przekona, że dobrym szcłem robotniczej dzielnicy może być człowiek, który pochodzi z inteligentkiej rodziny i całe życie spędził w inteligentkich kręgach. Mimo najwybitniejszych walorów umysłowych i najlepszych chęci, nie będzie on w stanie zrozumieć prawdziwych problemów takiego na przykład wędzarskiego wódkarza.

Chodzi mi bowiem nie tylko o sferę polityczną, ale również gospodarczą, propagandową, kulturalną. Swoją drogą, nielato dzisiaj być działaczem. Poprzedni okres był okresem wygodnego sprawowania władzy, obecny wymaga politycznej, społecznej i administracyjnej inicjatywy, a nade wszystko — odwagi. Jestem jednak optymistą. Jeżeli dobierzemy odpowiednie środki i metody, jeśli na każdym odcinku życia obowiązującym będzie jawność, uczciwość i demokracja...

— Myśli pan, że to wystarczy? Te słowa brzmią dosyć swojsko.

— Zgadnam się, że swojsko. Ale tu nie chodzi o słowa. Żeby poruszyć naród, żeby wyzwolić energię społeczną, nie nowych słów trzeba szukać, tylko NOWYCH WIZJI. Gorąco wierzę, iż ten, który przedstawi narodowi owe wizje, wygłosi kraj z kłopotów.

— Zapędziłmy się trochę. Mam brutalne pytanie: gdzie pan był w sierpniu i wrześniu, kiedy strajkowano w innych zakładach? W gabinecie?

— Nie. Wśród ludzi.

— A dyrektor?

— Dyrektor też był wśród ludzi.

— I co robiliście?

— Perswadowaliśmy, tłumaczyliśmy, łagodiliśmy. Wyonili się dwie komisje robotniczy powołał swoją, my swoją. Siadałmy po dwóch stronach stołu i spierałmy się, nieraz bardzo gorąco.

— Taki maleńki Gdańsk?

— Czy ja wiem? Wszyscy solidaryzowali się z Gdańskiem, ale pracy nie przerwali.

— I czego dowiedział się pan w trakcie tych spotkań?

— Dowiedziałem się, jaki jest stan świadomości naszych robotników i całego narodu. Dowiedziałem się, że nie ma jednolitej moralno-politycznej Polaków, jak nam to wcześniej próbowano wmawiać. Ale dowiedziałem się również, że wszystkim, niezależnie od poglądów, straszliwie leży na sercu los Ojczyzny.

— Bo bieżnia ma tylko cztery zakręty?

— Tak.

— A co jest za czwartym zakrętem?

— Meta.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ODGŁOSY 3

Dalszy ciąg ze str. 1

Władze Piotrkowa — zgodnie z praktyką minionego okresu — zignorowały całkiem mój raport, nie racząc się doń w żaden sposób ustosunkować. To znaczy w żaden sposób oficjalny, bo nieoficjalnie spadło sporo inwektyw tak na nasze pismo, jak i na samego autora publikacji.

Z naiwną nadzieją, że ktoś jednak wzięł pod uwagę przedstawione w czerwcowym raporcie niepokojące i wątpliwości, przejechał miasto wzdłuż i wszerz, sprawdzając stare i nowe tropy. Pawilon „Horteksu” przy ul. Osiedlowej wciąż w budowie, chociaż — jak wówczas zapewniali kierownicy budowy, Jan Pelka — ostateczny termin jej ukończenia opiewał na dzień 22 lipca bieżącego roku. Pewnie więc nieustraszone zmiany koncepcji i przeróbki dokumentacji, a co za nimi idzie — również i przebudowa wnętrza, przyczyniły się do kolejnych posłizgów.

Jeszcze gorzej na składowisku materiałów na wprost reprezentacyjnego Rolniczego Domu Handlowego „Spółdzielca”. Piszę „składowisko materiałów”, chociaż w opinii miejscowych władz jest to pewnie „plac budowy”.

„Regularne haldy prefabrykatów po jednej stronie — relacjonowaliśmy w czerwcu. — Środkiem bezładnie porzucone elementy stylowej konstrukcji. Po lewej zaś zółta waga papieru, naszpikowana wykopami ziemi. Trawa i chwasty. Plac całkiem pusty, tylko po stertach materiałów hęsa dzieciarnia”.

Przed dożynkami miał tu stanąć handlowy pawilon. Nie stanął jednak, a materiały budowlane — towar podobno deficytowy — przeleżały dwie zimy i czekają trzeciej. Nic się więc nie zmieniło? Zmieniło pewnie, bo elementów jakby mniej, a i bardziej zniszczone.

— Ja tam nie wiem, czy kradną — zastępował się wtedy lokator z sąsiedztwa. — Dzieciaki na pewno nieścą, zgadzam się. Jedno tylko powiem: po co było ten pawilon kupować, jak nie miał być stajnią? Inne województwo pewnie by to uzieliło, w rękę pociągowało i miało już dawno pawilon pod dachem.

Sygnał ten więc pozostał bez echa. Nikt mi też nie wyjaśnił, czy trzeba było wyburzyć kilka domów jednorodzinnych i zniszczyć kilkanaście ogrodów, żeby zbudować gigantyczny parking, na którym tylko raz jeden — podczas Dożynków — stały samochody (polozono: 23 sztuki), gdyż jego lokalizacja jest całkiem absurdalna.

— Pies z kulawą nogą tu nie zajrzy, samochody nie parkują, ziemia się obsuwa i płyty zapadają — uszyliśmy wówczas, a wypowiedź ta i dziś nie straciła na aktualności.

Bez echa też pozostały pytania na temat piotrkowskiej Fabryki Domów, która dotąd nie osiągnęła pełnej zdolności produkcyjnej. Nie doczekało się również odpowiedzi pytanie o bloki wybudowane systemem „szczecińskim”, w których skocone instalacje doprowadziły do zalewania piwnic fiekaliami. Pominęto też milczeniem wątpliwości, dotyczące sposobu wytyczania nowych arterii komunikacyjnych, a zawierające także pytanie o słuszność i konieczność wszystkich wyburzeń w rejonie alei 22 Lipca i ulicy Wojska Polskiego.

2.

Objechaliśmy więc znów całe miasto, trafiając przy okazji na ul. Wojska Polskiego, aby sprawdzić wiarygodność zarzutów, zawartych w jednym z listów, jakie napłynęły ostatnio do naszej redakcji.

„Towarzysz Kania polecił — czytamy w liście — sprawdzić użytki wille i dachy, jakie wybudowali sobie różni dygnitarze w ostatnich latach. Dlatego dotąd nikt się jeszcze nie zainteresował „palacem” wojewody piotrkowskiego przy ul. Wojska Polskiego 133A? Wille ta, o czym wszyscy wiedzą, wybudowana została na koszt państwa w miejscu, na którym miało być przedszkole. Z materiałów budowlanych na przedszkole przeznaczonych. Nie wiem, czy nas stać na takie kosztowne prezenty? My musimy się gnieździć w małych kłitkach w spółdzielczych blokach, podczas gdy w kszących luksusach mieszkają sobie dwule osoby. Na nasz zresztą koszt. A czy trzy samochody dla tych dwóch osób to też nie przesada?”

Posesja nr 133A przy ul. Wojska Polskiego.

Duża parcela, na której — daleko od ulicy — posród zdziecałego fantazmów ogrodu stoi jednopiętrowy budynek o wystroju skromnym, aczkolwiek wyraźnie odbiegającym od standardu. Prostopadłościenna bryła ma również i kubaturę nietypową. Pod tym dachem kryć się musi — na oko — nie mniej, niż 200 m kw. powierzchni użytkowej. Nie jest to na pewno „pałac”, ale i nie jest też i „domek”.

Na tabliczce z numerem posesji nie ma jednak nazwiska właściciela, tylko skrót: PGKiM. Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. A więc lokal kwatunkowy?

— Panie wojewodo, czy wille przy ul. Wojska Polskiego 133A jest pańską własnością? — kolejne z serii pytań.

— Absolutnie nie — protestuje Leszek Wysocki — jest to budynek Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej przydzielony mi w użytkowanie na czas sprawowania urzędu wojewódzkiego.

— Kto panu przydzielił ten dom? — Prezes Rady Ministrów. Proszę, oto decyzja w tej sprawie! — Wojewoda sięga do tekturowej teczki, w której zgromadził plik najpotrzebniejszych mu dziś dokumentów.

Premier, przydzielając mi stosunkowo dużą powierzchnię mieszkaniową, uzależnił moją trudną sytuację rodzinną. Cóż, powiem wprost, moja żona jest ciężko chora. Jej stan zdrowia wymaga warunków co najmniej

sanatoryjnych, jeśli nie szpitalnych. A tak, szczerze mówiąc, panie redaktorze, wille stanowi jeden z elementów nagonki, jaką rozpętano wokół mojej osoby. Kto? Sprawując taką funkcję, jeśli działa się operatywnie, z jak najlepszą nawet wolą, można sobie narobić wielu wrogów. Tak, na pewno mam wielu wrogów. Co tam będę ukrywał: w ostatnim czasie zaczęły się pojawiać w Piotrkowie samochody, nie z miejscową rejestracją, ale przede wszystkim obce. Wyściada taki jeden z drugim, wchodzi do sklepu i niby to kupuje bułkę, a przy okazji szepnie sprzedawczyni: „Pani wie, że wojewoda Wysocki za granicę uciekł?”. Innym razem powie, gdzie indziej: „Wścieł, że wojewoda został zjęty i a-

resztowany?”. No, niech pan sam przysięga, że takie plotki nawet i do Łodzi dotarły, prawda? Wciążnie z tą, że Wysocki samobójstwo popełnił. Czas teraz niespokojny, wiele jeszcze niepokoju i napięcia w społeczeństwie, wszelkie plotki grunt podatny znajdują. Staramy się im przeciwdziałać, jak możemy. Na zarzuty podnoszone publicznie każdemu obywatelowi odpowiadamy, niczego nie ukrywając.

Wojewoda sięga znów do teczki, z której wyciąga kopię takiej odpowiedzi, wyjaśniającej, że wille i sekretarza KW PZPR i wojewody piotrkowskiego nie są ich własnością, lecz zostały im przydzielone w użytkowanie na okres sprawowania funkcji.

— Panie wojewodo, co mieszcilo się w pańskiej willi, zanim pan w niej zamieszkał?

— Nic. Jestem jej pierwszym lokatorem. Była budowana już po objęciu przeze mnie urzędu. Początkowo zrodziła się koncepcja, żeby postawić domki drewniane typu „Ciechanów”, ale została przeprowadzona kalkulacja i ten wariant okazał się bardziej opłacalny: koszt niewiele większy, niż 8000 zł za metr kwadratowy.

— Faktycznie, bardzo tanio. Ja mieszkam w standardowym bloku wielokopciowym, w którym koszt jednego metra skalkulowano na 9800 zł. A ile metrów liczy sobie pańska wille?

— Dokładnie nie wiem, ale o ile pamiętam, to będzie jak raz 93 czy 96 metrów powierzchni użytkowej.

— Chyba mieszkalnej, prawda?

— Tak, tak, mieszkalnej, a oprócz tego hall i inne pomieszczenia, niewiele ponad 50 metrów powierzchni użytkowej.

— Rozumiem. A czy pan, panie wojewodo, ma jeszcze jakieś inne mieszkanie, domek czy dach?

— Ależ skąd. Owszem, miałem na poprzednim terenie, gdzie pracowałem, mieszkanie. Wykupili je na własność i teraz zajmuję je mój syn, to znaczy pasierb. Proszę pana, zanim zostałem wojewodą, a przedtem wicewojewódą, przepracowałem dwadzieścia lat w górnictwie. Zaczynałem na dole, a potem wspinałem się powoli po kolejnych szczeblach, od sztygara do dyrektora kopalni. W międzyczasie skończyłem Akademię Górniczo-Hutniczą. Spotykałem się z kolegami dyrektorami kopalń. Zarabiał po 30 tysięcy i więcej, mając wille i domki letniskowe, piękne samochody. A ja co? Zarabiał 15-16 tysięcy, domu własnego nie mam, działki żadnej też nie, dachy nie posiadałem. Samochód mam: „Fiat 126p”. Wytykają mi to kolezdy, ale ja zawsze wołałem mieć czyste ręce

3

W rozmowie naszej przechodzimy z tematu na temat, przenosząc się na przemian od spraw prywatnych do publicznych. I na odwrót.

Rozglądam się teraz po imponującym gabinecie, zastawionym pięknymi stylowymi meblami.

— Ten komplet mebli wykonała pracownia konserwacji zabytków w Henrykowie? — pytam.

— Tak — potwierdza wojewoda. — Warte są chyba z ćwierć miliona złotych, prawda? Figurują ponoć w ewidencji miejscowego Muzeum Okręgowego?

— Ile kosztowały, dokładnie nie wiem. A że stanowią własność muzeum, to fakt. Sala ta, panie redaktorze, pochodzi z okresu Księstwa Warszawskiego i znajduje się pod opieką wojewódzkiego konserwatora zabytków, który decyduje o jej kształcie i wyposażeniu. Czy widzi pan w tym coś złego?

Nie, nie widzę w tym niczego złego. Trudno przecież dopatrywać się czegoś złego w tym, co jawne i legalne.

Wyraziłem niedawno na tych łamach pogląd, że wojewoda czy prezydent powinni mieć prawo do pewnych przywilejów, przypisanych na mocy określonych przepisów do ich funkcji. Przepisów precyzyjnych, nie dopuszczających dowolności interpretacji, a więc nie dających tak pola do nadużyć, jak i nie dopuszczających do oszczerstw i pomówień. Jawność i legalność — to warunki, jakich nasz dotychczasowy system nie potrafił zagwarantować prowadząc w efekcie do wynaturzeń, których owoce zbieramy obecnie, tak w postaci procesów sądowych, jak i w postaci życia potrafiła, zatrzymujących życie potrafiła i uczelnią ludziom.

Mówiąc o przywilejach, miałem na względzie również i nieszczęsną wille do-

szka w domku ciasnym, ale własnym, do którego jest bardzo przywiązany. Trudno jest takiej osobie zrozumieć, że jej interes musi być podporządkowany interesowi społecznemu. I trudno się dziwić, że jak raz taki ktoś będzie się czuł pokrzywdzony, że będzie pisał listy, skargi, anonimy.

4.

I znów rozmowa — po licznych meandrach — wraca do plotek.

— Dotarła do pana już plotka na temat posądku, który stał w fontannie przed Urzędem Wojewódzkim? — pyta wojewoda i sięga do swej tecz-

ki.

Tak, plotka dotarła. I to, jak wiele innych, sprawdziłem. Rozmawiałem o niej nawet z kustoszem, Zofią Tatkowską, która samą plotkę potwierdziła, podważyła jednak jej zasadność.

Teraz zaś wojewoda przedkłada dokument, z którego wynika, że odlew cynkowy, przedstawiający chłopczyka z rybą, usunięty został w 1975 roku przez robotników, remontujących fontannę. Posądek wydobyt został ze sterty gruzów przez emerytowanego pracownika Urzędu Wojewódzkiego, Krzysztofa Zatorskiego, u którego znajduje się do tej pory.

— Czy nie sądzi pan, że dla uspokojenia mieszkańców miasta, warto ustawić ten posądek w właściwym miejscu?

Nie, nie uważam — oświadcza wojewoda. — Po pierwsze, odlew pochodzi z okresu międzywojennego, był zupełną tandetą, nie przedstawiającą wartości muzealnej. Po drugie, jest podziurawiony i pokaleczony, brak mu jednej ręki i innych elementów. Po trzecie, nie możemy dopuścić do sytuacji, w której będziemy odpowiadać działaniem na każdą plotkę, czy absurdalne żądanie.

O chłopczyka z rybą pewnie przysłówiowych kopii kruszyły nie warto. Wart za to poważnego potraktowania jest inny wątek naszej wizyty w Piotrkowie i rozmowy z wojewodą: muzeum na Wierzejach.

Wierzeje — to graniczka z Piotrkowem wieś, a ściślej jego przedmieście.

Na jej obrzeżu — w kilkukilometrowej odległości od miasta, na zupełnym odludziu, w głębi lasu, na terenie strzelnicy milicyjno-myśliwskiej — wzniesiono jeden z dożyńkowych obiektów, który nazwano pierwotnie „Domem Myśliwego”, a którego przeznaczenie od początku było niejasne.

Miała to być podobno swego rodzaju „izba trofeów i tradycji” miejscowego oddziału Polskiego Związku Łowieckiego.

Wątpliwym tym przedsięwzięciem interesowałem się od kilku miesięcy. Dawno też dowiedziałem się o zmianie „profilu” tej placówki. W maju Urząd Wojewódzki powziął decyzję o utworzeniu tam — przytaczając całą karkołomną nazwę — Oddziału Przyrodniczo-Łowieckiego i Ochrony Środowiska Muzeum Okręgowego w Piotrkowie Trybunalskim.

Na temat tej, nie istniejącej jeszcze, placówki przeprowadziłem m.in. rozmowę z dyrektorem Muzeum Okręgowego, Marcinem Gasiorem.

Przytaczam jej fragment:

Przygotowujemy się do objęcia tego obiektu, który poddawany jest obecnie pracom adaptacyjnym. Po ich zakończeniu będziemy się starać uruchomić czasową ekspozycję, gdyż zorganizowanie ekspozycji stałej jest sprawą trudną i raczej odległą. Mamy kłopoty tak z personelem, jak i z gromadzeniem eksponatów. Jest to inicjatywa całkiem nowa, nie było więc dotąd w naszym regionie żadnych tradycji tego typu.

— Oddział nie mieści się absolutnie w dotychczasowym profilu muzeum, które ma wyraźny charakter historyczno-etnograficzny.

Zgadza się, Kto wie jednak, czy rozszerzenie tego profilu nie przyniesie dobrych efektów. Na to trzeba liczyć. Podpisaliśmy już odpowiednie porozumienie o współpracy z Polskim Związkiem Łowieckim i Ośrodkiem Badań i Kontroli Środowiska.

— Czy rzeczywiście mieszkańcy Piotrkowa czekają na takie muzeum? Czy ktoś nie próbuje ich uszczęśliwić na siłę, chcąc zatruć im życie z dzisiejszego punktu widzenia decyzji? Przypomina to przysłowie kukulcze fajko, które wam ktoś podrzucił.

Na te i podobne pytania dyrektor woli nie odpowiadać. Nie wszędzie pewnie jeszcze podwładny może sobie pozwolić na publiczne krytykowanie zwierzchników.

Chętnie za to dyrektor opowiada o kłopotach muzeum, które „dusi” się w obecnych pomieszczeniach, pozbawionych odpowiedniego zaplecza technicznego i magazynowego. Mówi też o marzeniu personelu — Oddziału Historii Miasta, na którego powołanie trzeba będzie czekać wiele jeszcze lat.

Gdyby środki utopione w budowę „Domu Myśliwego” przeznaczyć na rozbudowę muzeum, większość jego kłopotów można by szybko i ostatecznie rozwiązać.

Byliśmy na Wierzejach. Nazwa „Dom Myśliwego” nasuwa skromniejsze znacznie skojarzenia. Trzeba zobaczyć to na własne oczy, aby w pełni uświadomić sobie rozrzutność, z jaką wyfundowano ten obiekt. Co najmniej piętnaście milionów złotych.

Oryginalna drewniana bryła architektoniczna przywodzi na myśl raczej pałacyk carskich książąt, niż skromny oddział współczesnego muzeum.

Część centralna z salą — powiedzmy — bankietową. Kilka segmentów z — przypuszczam — pokojami gościnnymi. I to odludzie. Las wokoło, zamknięty teren strzelnicy. Muzeum?

Dzielię się swoimi wątpliwościami z wojewodą, który stwierdza:

— Nie będę się upierał, że była to najstusniejsza decyzja. Wydawało nam się, że miasto i województwo, zwłaszcza młodzież szkolna, przyda się taka placówka. Ochrona środowiska — temat jak raz na czasie, a mało eksplloatowany. I towarzyszy ciekawa sprawa. Jest wiele zbiorów, okazów, eksponatów. Warto to ludziom pokazać. Chcieliśmy, żeby ten obiekt i ten teren stały się złączką przyszłego ogrodu zoologicznego. Trzeba od czegoś zacząć. Nie, nie jest tak daleko. Na razie żadnego połączenia nie ma, ale przecież to da się zrobić. Zgadza się: strzelnica. Można ją jednak przenieść na inny teren.

Wojewoda usiłuje mnie przekonać podobnymi argumentami, lecz ja przekonania nie mam do tej pory. Jest też kolejna kwestia sporna:

— Ile to kosztowało? — odpowiada wojewoda na moje pytanie.

— Spora część zrobiona została w czynie społecznym. Młodzież szkolna, leśnicy, myśliwi. Z kasy dożyńkowej nie poszło na to więcej, niż cztery, no, pięć milionów.

— Ależ, panie wojewodo — znów oponuję — według mnie sam materiał wart jest ponad dziesięć milionów złotych.

W dalszej dyskusji wojewoda stwierdza:

— Panie redaktorze, z okazji dożynek, przyznano nam duże środki do wykorzystania w krótkim czasie. Była to wielka szansa dla miasta, której nie chcieliśmy zaprzepaścić. I nie zaprzepaściliśmy. Gdybyśmy mieli to wszystko robić od nowa, zrobilibyśmy tak samo. Wszystkie przecież przedsięwzięcia były zgodne z planem zagospodarowania przestrzennego miasta. Jasne, że trudno tu było uniknąć pewnych potknięć, czy błędów. Według mnie jednak 97-98 procent pieniędzy wydaliśmy słusznie, prawidłowo, z dużym pożytkiem dla społeczeństwa.

Nie wiem, na ile szacunek ten jest trafny.

Tak czy inaczej, sprawa Centralnych Dożynek w Piotrkowie Trybunalskim dojrzeć chyba — pod naciskiem opinii publicznej — do ostatecznego podsumowania. Zwłaszcza, że fragmentaryczne rozliczenie dożyńkowych poczynąń dokonuje się ostatnio za sprawą kolejnych afer kryminalnych.

Niedawno Sąd Wojewódzki skazał Edwarda S. Katuszaka, byłego komendanta wojewódzkiego ONP, który zasłużył na parę lat więzienia okradaniem junaków i bankietowaniem na koszt państwa. Wskazano mu w tym procesie był Andrzej B. Muszalski, który zagarnął 200 tys. zł za nigdy nie wykonane „pamiątki” dożyńkowe. Ustatużił zaś komenda Wojewódzka MO w Piotrkowie podjęła śledztwo przeciwko rzemieślnikom, którzy wyłudziły od PGKiM 5 mln zł za nigdy nie wykonane prace przy odnawianiu miasta z okazji uroczystych Dożynek. Arszowano na razie 11 osób, w tym 3 inspektorów nadzoru, którzy pewnie swoim wspólnikom-rzemieślnikom fałszywe rachunki podpisywali. Na razie, bo śledztwo w toku i trudno dziś przewidzieć, jak szeroko i wysoko sięgnie ta afera.

Pod koniec rozmowy wojewoda konstatuje:

— Jak patrzeć wstecz, na tych parę lat sprawowania urzędu, to uświadamiam sobie, że popełniałem, a i ja popełniałem, jeden najpoważniejszy błąd. Za mało informowałem społeczeństwo o sprawach istotnych dla miasta i województwa. Za mało naszych decyzji poddawałem pod osąd i kontrolę obywateli. Za mało była jawność spraw publicznych, interesujących przecież wszystkich, w mniejszym lub większym stopniu, lecz na pewno wszystkich.

Trudno się z tym nie zgodzić, również i z tego względu, że gdyby więcej jawności było w sprawach publicznych, mniej by wówczas rozdziła się emocji w sprawach prywatnych. Zwłaszcza, że granica między nimi jest czasem bardzo płynna. Tym zresztą płynniejsza, im wyżej sięgamy. Tak się przynajmniej ostatnio okazało.

A ludzkie gadanie mogłoby mieć zawsze znacznie większy ciężar gatunkowy, niż psia buda, nawet w kaloryferze i glazurze wyposażona. I nikt by już pewnie nie chciał mieć tak dobrze, jak rzekomy pies wojewody.

Nie tylko zresztą w Piotrkowie Trybunalskim.

JACEK INDELA

Dalszy ciąg ze str. 1

We wsi panuje opinia, że zadłużona spółdzielnia produkcyjna wystąpiła o komasację z nadzieją, że uzyska dodatkowe korzyści materialne: na zagospodarowanie każdego hektara przejętego w ramach komasacji miała otrzymać od 30 do 70 tys. złotych. Tak, potwierdzają chłopcy, była wydzielona ziemia osobno dla wsi, osobno dla spółdzielni, a dodatkowo i na działki budowlane. Tylko, że nie rolnicy mieli się budować na tych działkach. Jak wieść gminna niesie, były to działki dla ludzi z innych miejscowości, którzy mieli je otrzymywać także za dolary.

Zanim rolnicy poznali projekt komasacji, powiedzieli zdecydowanie „nie”. Rozpętała się burza. Główne pretensje były pod adresem geodety, prezesa RSP, instruktora rolnego, Barczaka.

Naczelnik gminy Pabianice, Mirosław Krata:

— Nie mi nie wiadomo o żadnych machinacjach i dolarach. Wiem, że w planie był wyznaczony teren pod działki zagrodowe dla rolników. Do urzędu przychodzili różni ludzie. Jedni twierdzili, że dzieje im się krzywda, drudzy grozili, a jeszcze inni domagali się komasacji. Ci ostatni siedzieli jednak cicho i dopiero jak nie doszło do komasacji, zjawiali się z pretensjami. Każdy domagał się tego, żeby jemu było dobrze. Każdy chciał od razu wiedzieć, jak to będzie. Myśmy wszystkie uwagi chłopów przekazywali do Wojewódzkiego Biura Geodezji.

— Jakie stanowisko zajął pan w tej sprawie?

— Uznałem, że komasacja jest potrzebna. Razem z pracownikami służby rolnej staraliśmy się przekonać ludzi, że ze scaleń wynikać mogą korzyści. Przyznaję jednak, że nie miałem doświadczenia w sprawach komasacji. A co najważniejsze — ja nie mam żadnego wpływu na przebieg komasacji.

Chłopi też nie mieli doświadczenia w tej materii. Ale w gminie Pabianice przeprowadzano już komasacje. Na początku lat siedemdziesiątych w okolicy Rydzyn, a ściślej w miejscowości Potażni, scalono około 40 ha łąk dla potrzeb RSP w Piątkowsku, która miała zbudować tutaj oborę. Potażnia leży w odległości kilkunastu kilometrów od Piątkowskiego, po drugiej stronie miasta. Ale inwestycja zajmowała się nie z powodu odległości, lecz z braku pieniędzy. Scalone łąki pozostały w PPF i teraz dzierżawią je chłopcy.

W latach 1975–76, we wsi Majówka scalono 50 ha łąk dla SKR. Na skutek złego gospodarowania SKR odebrano nie tylko te łąki, ale wszystkie ziemie. Naczelnik Krata zawsze był zdania, że ziemie powinny uprawiać dobrzy rolnicy, dlatego część gruntów przekazał RSP w Ksawerowie, natomiast kompleks łąk w Majówce oddał w dzierżawę rolnikom specjalistom, każdemu po równym kawałku. Jak widać, łąki w Potażni i Majówce pozostały w dużych kompleksach, aby w odpowiednim czasie można je było przekazać gospodarstwu społecznemu. Jest to z jednej strony założenie słuszne, bo nie niweczy pracy scaleniowej, z drugiej jednak — budzi wątpliwości rolników, bo żaden dzierżawca nie czuje się pewnie na

państwowym gruncie i nie dba tak, jak o swoje.

Wróćmy jednak do Piątkowskiego. W sprawie komasacji wystąpił były prezes RSP, Władysław Wojtasik. Decyzję podpisał wiceprezydent Łodzi, Lech Krawiranda i Wojewódzkie Biuro Geodezji przystąpiło z urzędu do pracy. Rolnicy nie wyrazili zgody, toteż geodeta, Zbigniew Kawczyński, który zamieszkał w Piątkowsku, pracował zupełnie sam, gdyż nikt ze wsi nie chciał pomagać, nawet za przysługującą odpłatnością. Scaleniem objęto obszar około 500 ha. Od października ub. roku do marca bieżącego roku we wsi był szum. „Po co? Na co?”

— Dlaczego więc geodeta pracował?

— Bo jednocześnie było też zainteresowanie — odpowiada dyrektor d/s technicznych WBG, Czesław Kownacki. — Chłopi chcieli wiedzieć, jaką ziemię i gdzie otrzyma spółdzielnia, a jaką oni. W marcu, gdy zobaczyli projekt i okazalo się, że spółdzielnia otrzyma gorszą ziemię, nawet chwalili. Dlatego Kawczyński nie przerwał pracy. Dodatkowo opracował plan terenu, gdzie można kompleksowo zbierać grunty wypadające z produkcji. Wszystko przebiegało zgodnie z prawem. Były unormowane stosunki własnościowe, działala powołana z urzędu rada scaleniowa.

A mimo to projekt komasacji nie wszedł w życie. Władysław Wojtasik, dzisiaj na emeryturze, stara się uzasadnić racje spółdzielni produkcyjnej.

— Przed laty bez problemów zrobiliśmy scalenie w Wymysławie, więc i tutaj powinno się udać. Komu jednak zależy na spółdzielni? Woda spływa na Piątkowsko, wala nam się szklarnie, w których można by zatrudnić kobiety, nie ma jak dojechać do działek, a w dodatku nie wolno nam się budować. Przez stare obiekty ma przebiegać nowa trasa, wychodząca z Retkini. Czy ta trasa będzie robiona? Nie wiem, inwestycje się teraz ogranicza. Pośrodku pól wykupiliśmy trochę ziemi, powstał szerszy pas, i tu, niemal w centrum gruntów chłopskich, chcieliśmy stworzyć bazę, zbudować oborę. Nie rozumiem, czemu rolnicy tak stanęli przeciwko nam? Myśmy im kosili zboża i łąki, przewożiliśmy materiały budowlane, obornik. Pokazaliśmy, że na tej ziemi można siać pszenicę i zebrać 44 kwintale z hektara.

— Ale wasze sukcesy chłopów nie interesują.

— No pewnie, oni dbają o swoje.

— Mimo to poparliście chłopów.

— W jaki sposób?

— Sprzeciwiliście się w końcu komasacji, o którą zabiegaliście.

— Wie pan co? W 77 roku szedłem przed kombajnem, żeby sprawdzić, czy może wiechać. A teraz geodeta dał nam najgorszą ziemię. W jednym kompleksie bagno, które co roku powiększa się w promieniu 10 metrów. W drugim kompleksie mokradła. Myśmy to rekultywowali, ale pólów jeszcze nie ma. Chłopi dostali wyższe grunty i wyznaczono im dobre drogi. Ja nie ukrywam, że po melioracji ta ziemia może dobrze plonować. Jednakże przy takim projekcie w ten mokry rok nie by się nie urodziło. Kto zresztą wychodzi z projektem dopiero we wrześniu?

Może więc należało zacząć od melioracji? Wtedy, żeby nie „drażnić” rolników, nie trzeba było dawać gorszej ziemi spółdzielni, która też ma rację bytu. Już obecnie w Piątkowsku jest sporo ludzi starych. Czekają. Syn nie chce ziemi, może więc weźmie wnuczek? Ile jeszcze lat można czekać? A jak wnuczek przyjdzie i powie, że gwizda na to? Ziemia będzie wypadać. Tę przyległą, przez miedzę, może kupić spółdzielnia, inną młodzie rolnicy, którzy z nią sąsiadują.

Solity, Stanisław Agata, którego żona pracuje w spółdzielni, podpisywał i pęczętował petycję w imieniu chłopów. Za komasacją był Zbigniew Marczuk, Kalinowski, Barczak,

człowiek zestarzeje, zda ziemię do spółdzielni.

— Więc o co panu chodzi? Geodeta Kawczyński umieścił w planie to, co pan sobie życzył.

— On to zrobił w ostatniej chwili. A tak, to tylko podawał ludziom karteczki z numerami nowych działek. Z nikim nie chciał rozmawiać, tylko z komisją. A w komisji był instruktor Barczak, bo po komasacji miał dostać trzy działki budowlane. Trzymał ziemię, a jak nie wyszło, szybko oddał teściowej.

— W marcu byliście zadowoleni z projektu?

— Bzdura! Geodeta wezwał ludzi z dowodami i aktami własności, żeby niby to sprawdzić numery dział-

na — mówi dyr. Kownacki. — Bo po czasie ludzie na pewno ochłoną. Rozetrzą się, zbadają projekt i ocenią właściwie, na trzeźwo. Jeżeli od połowy rolników wpłynię wniosek za komasacją, to projekt zostanie wprowadzony w życie.

— Ile to kosztowało?

— Około dwustu tysięcy.

Jakkolwiek by oceniać, jest to strata. Ale byłaby większa, gdyby ktoś wpadł na pomysł doprowadzenia chłopów ze starych gruntów i wprowadzenia na nowe działki sądowo, drogą eksmisji. Rozważne stanowisko w tej sprawie zajmuje kierownik gminnej służby rolnej, Ryszard Iwański:

— W przyszłym roku zajdzie potrzeba komasacji w Żytowicach i Janowicach. Mamy już nauczki, jak tego nie robić. Uważam, że w pierwszym rzędzie sprawę muszą dołożyć zbadać instruktor rolny oraz inspektor d/s gospodarki ziemni. Oni najlepiej wiedzą, kto chce kupić ziemię, kto powiększyć gospodarke, albo zdać na rentę; kogo należy uwłaszczyć, gdzie uregulować stan prawny. Powoli, z taktem i umiarem, przekonywać ludzi, co mogą dobrego uzyskać po komasacji. Po prostu od początku musimy wiedzieć, czy nam się to uda. Jeśli większość rolników wyrazi zgodę na piśmie, to zaczynać. A jeśli nie, to nie. Myślę też, że jak najszybciej powinien być przedstawiony projekt komasacji. Jeśli więc go nie przyjmie, trzeba opracować inny wariant. I dopiero, gdy kolejny projekt zostanie przyjęty przez chłopów i potwierdzony podpisaniami, można wkończyć stupki.

W lipcu pisałem na tych łąkach o korzyściach płynących ze scaleń i wymiany gruntów. Nie zamierzam więc się powtarzać, ani też uderzać w ton mentorski. Trudno też zdecydowanie stanąć po jednej ze stron, bo każda z nich ma swoje racje. W poprzedniej publikacji zaznaczyłem, że scalenia to sprawa niemiernie delikatna, drażliwa, w której łatwo popełnić błąd, którego nie da się szybko naprawić.

Chłop był i jest nadal nieufny do urzędów i nie znosi, kiedy narzuca mu się coś z góry. Staram się zrozumieć rolników z Piątkowskiego. Pewnie korzystniej dla nich byłoby mieć obok domu pół hektara ziemi, niż gnać bydło kilometr lub dwa na kraniec wąskiego pola. Ale oni chodzą po „swoim” na „swoje”. Przesunięcie pola, to naruszenie ojcowizny. Modlili się więc, złorzeczyli, wpadali w rozpacz. Znali swoją ziemię, wiedzieli, co się na niej urodzi, czym ją zasilić, żeby lepiej plonowała. Teraz trzeba było zajmować ziemię obcą, nieznana, a często przejeżdżać przez obcejsze sąsiada, aby dostać się na nową działkę. Te wątpliwości i te racje należało uszanować. Myślę jednak, że w tej sprawie decydującą rolę odegrała błędna polityka rolno ostatnich lat. Przywileje dla sektora państwowego, spychanie rolnictwa indywidualnego na drugi plan, odbieranie chłopom ziemi, zakaz jej sprzedaży rolnikom w niektórych gminach sprawiły, że poculi się oni zagrożeni. W Piątkowsku chyba też panowało takie odczucie.

RYSZARD BINKOWSKI

IMPRESJA WIEJSKA

Zmieniły się tylko drzewa. Jedne wymarły, drugie wyrosły. Prawo jednakowe jest dla drzew i dla ludzi, powiada Wiktorii. Jedni odchodzą, drudzy przychodzą. Są miejsca, które jednak inaczej wyglądają niż za czasów dzieciństwa mojej bohaterki. Pojawiały się wiele murowanych domów. Nawet piętrowych kamienic, które jednak nie są należycie wykorzystane. Pokoje na piętrze są umebelowane, ale nie zamieszkałe. Właściciele mieszkają na dole w kuchni. „Pójdźcie, zobaczcie, jakżeśmy się urządzili”, powiadają do gości.

Mebie są rzeczywiście ładne, stoły, kanapy, fotele. Ale biblioteczki ani półki na książki nie ma. Chociaż w niektórych domach te meble się znajdują, spełniają raczej funkcję dekoracyjną. Człowiek na wsi, jak nigdzie, nie ma za wiele czasu na lekturę. Wyposażenie bibliotek gminnych jest niezbyt bogate; są one słabo zaopatrzone w nowości. Z innych zmian rzucają się w oczy drogi. Dawne drogi polne, zwane też „polskami”, ustąpiły miejsca szosom. Nie ma już starych wierzb, które całkowicie zakrywały drogi. Szosami można dojechać do każdej wsi w gminie. Można też dojechać do dalekiego miasta, w którym znajdują się dzieci Wiktorii. Gdzie dawniej było o tym myśleć! Do miasta wojewódzkiego w razie potrzeby jechało się furmanką.

Przyjemnie jest siedzieć na ławce, patrzeć, jak zachodzące słońce pokrywa drzewa, domy, pola i lasy łagodnym światłem. Jest to według Wiktorii najpiękniejszy zakątek świata. W powieści kazałem Wiktorii zetknąć się z chłopcami i dziewczętami, którzy rozłożyli obóz w lesie. Nauczyciel przyprowadził ich do Wiktorii, aby opowiedziała, jak dawniej ludzie żyli. Chłopcy rozpalili ognisko, Wiktorii siedziała na ławce i opowiadała. Mówiła o ludziach, których już nie ma. W jej opowiadaniu zjawili się ci, którzy nie wrócili z obozów i więzień. Wiktorii mówiła też o pomniku, który wzniesiono dla uczczenia pamięci jednego z generałów powstania listopadowego. Ów generał urodził się we wsi Wiktorii. Pierwszą myśl o tym pomniku zaliła jeszcze przed wojną w duszy ojca Wiktorii. Pomnik, a właściwie kamień pamiątkowy dzisiaj stoi, ale Wiktorii zadaje sobie pytanie, dlaczego nie ma na nim imion i nazwisk ludzi, którzy zginęli w czasie wojny? Pamiętam, mówi, o moim chłopie tutaj nikt nie wspominał. W jaki sposób uczcić pamięć tego człowieka, który nie powrócił z Oświęcimia? Usypać nowy kopiec? Może i kiedyś ludzie go usypią. Ale ważniejsza nad kopiec jest pamięć. Ważniejsze są słowa mówione i drukowane, za którymi biegał ojciec Wiktorii. Tomasz. Jeden poeta, z którym Tomasz raz w życiu się spotkał, powiedział, że największym bogactwem narodu, nie dającym się zmierzyć nawet miarą złota, jest mowa. Nasza mowa pozwala nam naszą duszę, własny rozum i własne serce pokazać drugiemu człowiekowi. I nie tylko pokazać, ale również du-

żyć i serce drugiego człowieka zobaczyć. Można wystawić pomnik i zostawić go samemu sobie. Niech go wiatry wysuszają i trawa zarasta. A można ten pomnik ożywić, pamiętając, co on wyraża. Może Tomasz przez swoje mówienie postawił większy pomnik generałowi, niż my z kamienia i cementu? Może pomnik Tomasza jest trwałszy? Nie może być przedmiotów martwych, mówiła Wiktorii, wszystko żyje, kamienie też żyją, jeżeli człowiek tego pragnie.

To wydarzenie, wystawienie pomnika, stało się pretekstem do napisania owej powieści, do przedstawienia w niej portretu Wiktorii, której postać kształtuje zarówno historia ojczystego kraju, przechowywana w tradycji domowej, jak i współczesne wydarzenia. Kreśliłem ten portret na wzór i podobieństwo kobiet, których serce, ofiarności i poświęcenie poznałem w ostatniej wojnie i nadal wciąż poznajemy. Taka uroczystość mogła się wydarzyć w Innej miejscowości i być poświęcona innemu bohaterowi. Przekonałem się, że nie uczczenie takiej czy innej postaci historycznej, a o funkcję wychowawczą, jaka się z tym wiąże. O przedstawienie procesu dojrzewania świadomości politycznej współczesnego bohatera książki.

Więc to jest ta moja wieś. A raczej jej fragment. Marzy mi się dopisanie dalszego ciągu tej powieści. I nawet gdybym się do tej drugiej części nie zabrał, to i tak nasuwają się różne pytania, które musiałbym rozważyć. Trzeba przecież odpowiedzieć, jaki jest społeczny i polityczny krajoobraz dzisiejszej wsi. Odpowiedź niełatwa, jeśli się zwąży to wszystko, co się w naszym kraju w ostatnich miesiącach wydarzyło i co jeszcze się dzieje. Moja wieś również przeżywa ogólne niepokój. Z jakich więc elementów zbudowana jest współczesna rzeczywistość wiejska? Co z dawniej tak bardzo dawnej przeszłości jeszcze żyje w świadomości i zachowaniu się ludzi? W jaki sposób dawne nawyki, obyczaje, wierzenia, tradycje polityczne wpływają na kształtowanie się osobowości współczesnego mieszkańca wsi? Pamiętamy, że w naszym krajoobrazie żyją ludzie, których za młodych lat Wiktorii nie spotykało. Są to lekarze, technicy, inżynierowie, spółdzielcy, urzędnicy. No i przede wszystkim rolnicy, ale już inni niż kiedyś. Nierzadko i z pacjentem szkoły średniej, a czasami i wyższej. Inne są więc ich horyzonty. Inne konflikty. Inne dramaty.

Traktuję swoje plany, jako jeszcze jedną próbę spojrzenia na to, co się dzieje na wsi, zwłaszcza w zakresie potrzeb kultury. Czasami napotkać się może z powtarzaniem, że powieści, które wpisują się do tzw. nurtu literatury ludowej, odpowiadały na wszystkie pytania i wątpliwości. Zresztą rozpatrują one rozmaite aspekty życia wiejskiego i nikt takiego zadania pisarzem nie stawia.

Ale wciąż aktualne jest zadanie, o którym dawno temu, jeszcze przed wojną pisał Kazimierz Czacowski w szkicu „Na chłopskim froncie literackim” (będącym rozdziałem z III tomu „Obrazu współczesnej literatury polskiej”), przypominając zjazd, odbyty w 1934 roku z inicjatywą jednego ze związków młodzieży wiejskiej. W rozważaniach przed zjazdem liście organizatorów pisało: „Uważamy, że literaci polscy za mało interesują się zagadnieniem wsi polskiej i zagadnieniem wiejskiego proletariatu. Współcześni literaci na ogół nie wiedzą nic o przeobrażeniach, jakie zaszły w młodej wsi polskiej. My, jako zorganizowana młodzież wiejska, domagamy się od literatów głębszego zainteresowania sprawami społecznymi i proletariackimi wsi polskiej. Zwołujemy powyższą konferencję dla zatkania ze sobą dwóch odrębnych światów — literatów i czytelników wiejskich”. Jak pisał Czacowski, literaci nie dopisali, bo z czterdziestu zaproszonych stawili się zaledwie pięciu, ale stawili się dość licznie działacze kulturalni, poeci ludowi. W przemówieniach roztrząsano sprawy literatury i cywilizacji; skąrodo wsi ogólnie na brak odpowiedzającej potrzebom wsi literatury i na brak dobrych książek w zaniebawianych i fatalnie zaopatrzonych bibliotekach wiejskich; formułowano życzenia, w jakim kierunku rozwijać się powinna współczesna polska twórczość literacka; domagano się, aby pisarze polscy zajęli się nareszcie zagadnieniem twórczego chłopstwa polskiego.

Od zredagowania tych zadań upłynęło prawie pół wieku. Kiedy odwołam rodziną okolicę Wiktorii, mojej bohaterki, i próbuję pisać o tej okolicy, o mojej wsi, w nowym krajoobrazie znajduje, jak w tkaninie, także wałki stare. Ale przecież i one ulegają zmianom. W jaki sposób najtrafniej przedstawić te zmiany?

TADEUSZ PAPIER

ODGŁOSY 5

W poprzednich dwu numerach „Odgłosów” opublikowaliśmy relację z dyskusji, jaką wspólnie ze Zjednoczeniem Gospodarki Komunalnej przeprowadziliśmy na temat przygotowania miasta do zimy. Obecnie publikujemy ostatnią część tej dyskusji. Przypominamy, że w rozmowie naszej uczestniczyli:

Zdzisław Gajzler — naczelnik wydziału w Dyrekcji Okręgowej Dróg Publicznych,

Stanisław Karbowy — wiceprezes Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej,

Józef Korkosiński — zastępca inżyniera województwa w Zakładzie Korelacji Usług Komunalnych,

Zygfryd Kwiatkowski — dyrektor Zakładu Energetycznego Łódź-Miasto,

Andrzej Sobierajski — inżynier województwa w Zakładzie Korelacji Usług Komunalnych,

Stefan Spryszyński — dyrektor Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania,

Zdzisław Sztyda — dyrektor Zespołu Elektrociepłowni im. W. Lenina,

Paweł Walczak — dyrektor Zakładu Sieci Ciepłej,

Wiesław Zajdler — zastępca dyrektora Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej,

„ODGŁOSY” reprezentowali: **Bogda Madej** i **Jacek Indelak**.

Ostatnią część naszej rozmowy poświęcimy sprawom komunikacji zimą. Jaka będzie zima — nie wiemy. Ale przygotowani powinniśmy być na najgorsze.

„ODGŁOSY”: — Czy znów zima nas zaskoczy? Czy też jesteśmy do zimy przygotowani jak trzeba i żaden mróz i śnieg nie jest nam na drogach i ulicach groźny?

A. SOBIERAJSKI: — MPK ma przygotowany sprzęt do odśnieżania torów.

„ODGŁOSY”: — Czy to jest sprzęt wystarczający?

J. KORKOSIŃSKI: — Niezupełnie. Są na przykład odśnieżarki wiorowe na duże śniegi, ale jest ich 7, a powinno być 13. Są też solarki, plugi, płotki do ustawiania wzdłuż torów.

A. SOBIERAJSKI: — Teoretycznie więc MPK zimą nie może zaskoczyć. Ale nie wiemy dokładnie jaka będzie zima. I nie wszystko zależy tylko od MPK. Na przykład 15 węzłów komunikacyjnych jest pod opieką zakładów pracy. A jakie znaczenie dla całej komunikacji mają te węzły, nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć. I nie zawsze tu pomoże sprzęt. Niekiedy trzeba posługiwać się tylko młotem i łopatą. A jak zakłady pracy nie wywiążą się ze swoich obowiązków, to skutek wiadomy. Zahamowanie w komunikacji tramwajowej w mieście.

„ODGŁOSY”: — Niekiedy są zdania, że nie należy angażować ludzi z zakładów pracy do tego rodzaju prac, bo oni mają inne zadania. Zgłaszano takie postulaty.

J. KORKOSIŃSKI: — Są takie poglądy. Tylko, że w praktyce to wszystko wygląda inaczej. Jeśli ktoś nie oczyszcza skrzyżowań, węzłów komunikacji tramwajowej, jeśli stanie komunikacji, to ludzie do fabryk też nie dojadą i wtedy innych zadań też nie wykonają. Tak że tu się wszystko wiąże i trudno powiedzieć, kto ma rację, bo jest to racja teoretyczna. W praktyce najczęściej wychodzi na to, że jak sobie nie pomożemy wzajemnie, to nikt nam nie pomoże.

A. SOBIERAJSKI: — Albo sprawa przystanków tramwajowych. MPK nie ma ani sprzętu, ani ludzi, aby wszystkie przystanki tramwajowe oczyścić ze śniegu, czy z błota. Tu już jest potrzebna pomoc innych.

J. KORKOSIŃSKI: — Komunikacja tramwajowa jest niezwykle czuła na wszelkie zmiany pogody. Wystarczy 5 cm błota na skrzyżowaniach, na rozjazdach, gdzie skracają tramwaje w różne strony, aby komunikację sparaliżować. Każdy motorniczek musi bowiem wyjść z tramwaju i przełożyć zwrotnice, a to zabiera czas, zakłóca częstotliwość kursowania tramwajów, powoduje korki.

„ODGŁOSY”: — No i wiadomo, że jak tylko pojawi się śnieg, albo zaczyna się jesienne szarugi, wozom silnikowym zaczyna zaraz spalać się silniki. O tym mówi się od lat. Czy projektanci wozów silnikowych, twórcy, wzięli pod uwagę te niedogodności i wprowadzili jakieś zmiany, aby chronić silniki przed uszkodzeniem?

A. SOBIERAJSKI: — Tak. Ale to nie wystarczy. Musi być też odpowiednia rezerwa silników w MPK. A takiej nie ma. W tej chwili stan wynosi minus 5 silników. Nie ma również innych części zamiennych. **J. KORKOSIŃSKI**: — W ubiegłych latach MPK pomagały zakłady pracy, ale obecnie i one mają różne kłopoty.

„ODGŁOSY”: — A jak spadnie duży śnieg, przyjdzie duży mróz, jak będzie śnieżyca, to co wtedy?

A. SOBIERAJSKI: — Przy dużych śniegach prowadzimy tak zwany awaryjny rozkład jazdy tramwajów. Polega na tym, że jeżdżą one z południa na północ, ze wschodu na zachód i z powrotem, bo na wszelkie manewry w prawo czy lewo nie pozwala stan zwrotnic.

„ODGŁOSY”: — Niekiedy zwrotnice są przecież podgrzewane.

A. SOBIERAJSKI: — Prawda, ale potrzeba do tego znacznego zapasu bezpieczników, bo spalają się w trudnych warunkach. A takiego zapasu nie ma.

J. KORKOSIŃSKI: — Komunikacja tramwajowa w trudnych warunkach musi jeździć bez przerw, aby mogła funkcjonować. Każda przerwa, zatrzymanie nieprzewidziane może ją zakorkować na długo. Dlatego w takich warunkach na ogół eliminuje się wszelkie potencjalne punkty zahamowań.

A. SOBIERAJSKI: — Kiedy przyszłyby straszna zima, bo i takie się na ileś tam lat zdarzają, to wtedy rozpoczynamy stopniowe wycofywanie tramwajów, aby nie pogrzeżyły w zaspach i zupełnie nie zakorkowały komunikacji.

„ODGŁOSY”: — Miał perspektywę. Ale wróćmy do stanu dróg zimą. Ze śniegiem, błotem i jego skutkami walczą nie tylko MPK. Jest to też zadanie MPO.

A. SOBIERAJSKI: — Nie tylko MPO ma za zadanie dbać o czystość jezdni w 43 proc. Troska o pozostałe ulice należy do dozorców. Dozorcy odpowiadają za czystość nie tylko chodnika, ale i połowy jezdni, połowy skrzyżowania. Tylko że tego

nie posiadamy bowiem takich ilości sprzętu i w takim stanie, aby można było szybko i skutecznie uporać się z czekającymi nas zadaniami. Dlaczego? Z bardzo prostego powodu. Nie posiadamy na przykład dostatecznej ilości zapasowych akumulatorów i opon. Zeszłej zimy dostaliśmy od prezydenta miasta Łodzi kilkanaście akumulatorów i to wszystko. Stosujemy różne wybiegi — za zgodą resortu zresztą — ale to na wiele się nie przyda. Podobne kłopoty mają przecież i inne przedsię-

A. SOBIERAJSKI: — Ja już mówiłem, że służby miejskie nie są w stanie dbać o czystość wszystkich ulic zimą. Naszym zadaniem jest dbać przede wszystkim o trasy przebiegające, o ciągi komunikacji miejskiej.

Z. GAJZLER: — Dyrekcja Okręgowa Dróg Publicznych zajmuje się oczyszczaniem dróg poza terenem miasta. To samo w Zgierzu i Pabianicach. Ale my nie zajmujemy się również oczyszczaniem dróg lokalnych. W sumie mamy około 260 km dróg pod naszą kuratelą i są one podzielone na drogi różnego stopnia odśnieżania. Mamy 58 km dróg pierwszej kolejności odśnieżania, 47 km — drugiej i 150 — trzeciej. Może to się wydawać mało, ale przy stanie i ilości sprzętu, jaki posiadamy, jest to bardzo dużo.

Nie posiadamy bowiem takich ilości sprzętu i w takim stanie, aby można było szybko i skutecznie uporać się z czekającymi nas zadaniami. Dlaczego? Z bardzo prostego powodu. Nie posiadamy na przykład dostatecznej ilości zapasowych akumulatorów i opon. Zeszłej zimy dostaliśmy od prezydenta miasta Łodzi kilkanaście akumulatorów i to wszystko. Stosujemy różne wybiegi — za zgodą resortu zresztą — ale to na wiele się nie przyda. Podobne kłopoty mają przecież i inne przedsię-

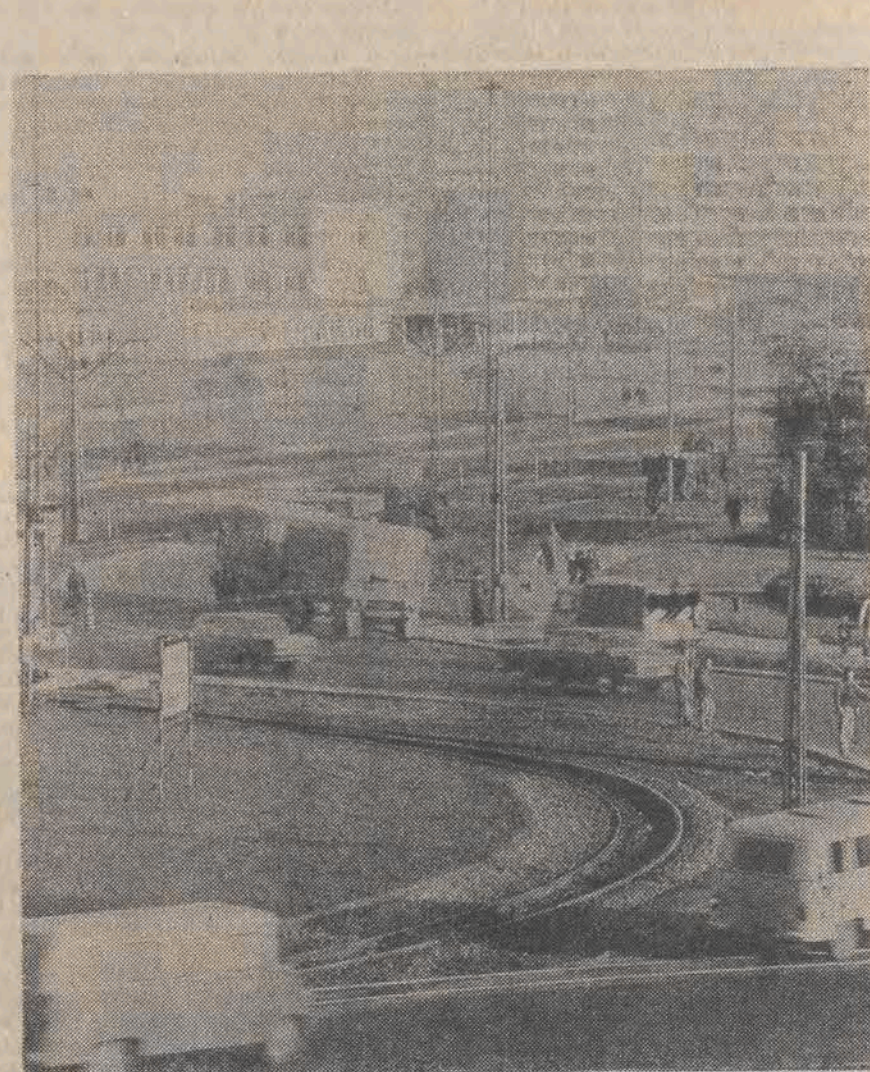


Foto: Archiwum

„ODGŁOSY”: — Jeśli są chętni do pomocy. W ubiegłych latach stosowano zimą zakaz parkowania przy niektórych ulicach, aby nie utrudniać odśnieżania. Czy tej zimy będzie się to stosować?

A. SOBIERAJSKI: — Kontrolujemy teraz ilość samochodów parkujących przy różnych ulicach. Jeśli będą to duże ilości, będziemy stosowali takie zakazy, jak w roku ubiegłym. W rachubę wchodzi na przykład ulica: Piotrkowska, Rewolucji 1905 roku, Więckowskiego, Allende, Maratońska.

Z. GAJZLER: — To niestety jest konieczne. Ja wiem, ile nam kłopotu sprawia samochód pozostawiony przy drodze. Połowa drogi jest zablokowana. Nie można jej też nalezyście oczyścić. Trzeba apelować do posiadaczy samochodów, kierowców, aby tak nie postawiali samochodów, bo to i jeździe blokuje i samochod może ulec zniszczeniu.

„ODGŁOSY”: — Istotne jest też wywołanie śniegu. Idzie to czasami zbyt opieszale.

A. SOBIERAJSKI: — My będziemy koordynowali oczyszczanie miasta i kierowali sprzętem tam, gdzie to będzie najpilniejsze. Wszystkiego jednak od razu się nie zrobi.

„ODGŁOSY”: — A śniegi? Wiemy, że są wywołane nieregularnie nawet teraz, kiedy nie ma ani śniegu, ani mrozu. Co będzie zimą?

S. SPRYSZYŃSKI: — Skąd się biorą teraz trudności? Wiadomo. Była już o tym tu mowa. Brak akumulatorów i ogumienia. Dlatego czasami nie możemy regularnie być tam, gdzie powinniśmy. Ale zimą dodatkowo komplikuje się dojazd do śmietników. To już zadanie dla administracji domów, aby spowodowała właściwe przygotowanie dojazdu naszych wozów do pojemników i zyspów. Tych dużych pojemników na kółkach też mamy mniej niż potrzebujemy. Oto przyczyny naszych kłopotów.

„ODGŁOSY”: — Na ogół obserwuje się, że śmietniki aż kłują od śmieci po wolnych sobotach. A od nowego roku mamy kłótkach też mamy mniej niż potrzebujemy. Oto przyczyny naszych kłopotów.

A. SOBIERAJSKI: — Wolne soboty bardzo nam komplikują skuteczne działania. W każdym tygodniu będą dwa dni wolne od pracy i trzeba znaleźć takie rozwiązania, aby ludzie byli w dyspozycji w razie nagłej zmiany pogody. Komunikat meteorologiczny — jak wiemy — nie bardzo można wierzyć.

„ODGŁOSY”: — Chyba jakoś przygotowuje się do rozwiązania tego problemu?

A. SOBIERAJSKI: — Jest projekt wprowadzenia dodatkowych placów za domowe dyżury dla operatorów ciężkiego sprzętu, aby zawsze byli gotowi do pracy. Musi też być kontakt z innymi województwami, abyśmy wiedzieli skąd nadciąga niebezpieczeństwo i jak się temu przeciwstawić.

S. SPRYSZYŃSKI: — My też zastanawiamy się nad tym, jak będziemy sobie radzić w sytuacji, kiedy wszystkie soboty będą wolne. Już teraz doszliśmy do przekonania, że będziemy musieli mieć więcej ludzi, bo przecież przejścia podziemne na przykład, bez względu na dzień ty-

godnia, sobota to będzie czy niedziela, jak spadnie tylko śnieg trzeba natychmiast czyścić. Ruch kołowy wprawdzie w tym czasie będzie mniejszy, pieszcy też, ale to nam nie rozwiązuje. Czyścić trzeba i ulice, i przejścia, i skrzyżowania.

Z. GAJZLER: — U nas pracuje się w wolną sobotę, niedzielę, stałe, bo muszą być dyżury, w razie nagłego opadu. Ale my, a także i inne przedsiębiorstwa dbające o stan komunikacji w mieście i na drogach publicznych, współpracujemy na przykład z fabrykami. W soboty niedziele fabryki nie będą pracowały. Jak to zostanie rozwiązane? Będziemy czekać do poniedziałku? Jeśli tak, to zakorkuje się komunikacja. Nad tym też trzeba jak najszybciej się zastanowić i znaleźć właściwe rozwiązanie.

„ODGŁOSY”: — Z dotychczasowej rozmowy wynika, że zima nie powinna nam narobić kłopotu, jeśli będzie taka, jaką sobie życzymy, łagodna, z małą ilością śniegu, lekkimi mrozami, bez zadynek, gołodzi. Do takiej zimy jesteśmy w zasadzie przygotowani.

Z. GAJZLER: — Nasz sprzęt w połowie jest sprawny. Ale nie mamy też wahań kolejowych, które dostarczą nam soli. Musimy wysłać do Kłodawy po sol specjalną wywrotkę, która już wieczorem ustawia się tam w kolejce.

A. SOBIERAJSKI: — MPO nie posiada na przykład więcej sprzętu niż posiadało podczas ostatniej „zimnej stulecia”. Zeszła zima była lepsza, ale sprzęt też się zestarzał. Więc niby mając to samo, MPO ma mniej, bo gorszy sprzęt, bardziej wyeksploatowany. O innych brakach już mówiliśmy.

„ODGŁOSY”: — A jak to jest w innych miastach?

A. SOBIERAJSKI: — Warszawa ma około 300 jednostek tylko do pracy w zimie. U nas jest sprzęt osadza na samochodach używanych normalnie do innych celów. Samochody te są w ciągłej eksploatacji. Mogą się zepsuć akurat wtedy, kiedy będą bardzo potrzebne. Wypożyczamy też z innych przedsiębiorstw miejskich, z Pabianic, Zgierza, z DODP.

S. SPRYSZYŃSKI: — Potrzebna nam jest druga zajezdnia. Potrzebne są magazyny. Moglibyśmy wtedy szybciej docierać tam, gdzie jesteśmy najbardziej potrzebni. A tak dojazd zabiera nieraz wiele czasu. W dni wolne od pracy operatywność nasza jeszcze się bardziej zmniejsza.

A. SOBIERAJSKI: — Stan zaopatrzenia na połowę października w środki chemiczne i piasek wynosi ok. 80 proc. potrzeb. Prezydent podjął działanie przez Wydział Komunikacji UML, żeby zdynamizować PKP, abyśmy dostali tyle środków, ile nam potrzeba.

„ODGŁOSY”: — Nie pozostaje nam nic innego, jak życzyć sobie lekkiej zimy. Ale mimo to sadzimy, że wszystkie odpowiedzialni za stan miasta zimą zrobią wszystko, aby poradzić sobie z zimną surową. Taką nadzieję wyrażamy w imieniu naszych Czytelników, mieszkańców Łodzi.

Opracowała:
BOGDA MADEJ

MIASTO PRZED ZIMĄ (3)

nikt od dozorców nie egzekwował.

Czy nas w ogóle zimą zaskakuje — jak to lubi często podkreślać prasa? Nie sądzę. Możemy zrobić na ogół tylko tyle, na ile pozwala nam stan posiadanej sprzętu. I nie więcej. Na przykład żąda się od nas, abyśmy oczyścili jezdnie do „czarnej nawierzchni”, ale nie zawsze jest to możliwe przy posiadanej sprężce i przy jego stanie. Topić śniegu przy użyciu środków chemicznych w zasadzie nam nie wolno.

„ODGŁOSY”: — A jednak używa się środków chemicznych. Dlaczego?

S. SPRYSZYŃSKI: — Na tę zimę mamy do posypywania 30 tras. Będziemy je posypywali środkami chemicznymi i szorstkimi. Dlatego będziemy tak robili? Bo nie ma innych skutecznych metod. Wiemy, że środki chemiczne szkodzą roślinom i niszczą owadów, ale nie mamy innego wyjścia. Jeśli chcemy mieć bezpieczne jezdnie, to musimy sypać je środkami chemicznymi. Na chodnikach — nie. Na jezdniach — tak.

Próbowaliśmy sypać samym piaskiem. Po 15 minutach piasek był pod krawężnikiem, a jezdnie nadal była śliska. Jak marzenie mławka to i piasek zamarza i samochody nie mogą się zatrzymać. Później zresztą, już wiosną wiatr roznosi ten piasek, część wpada w wodę do kanalizacji, część osiada w naszych płucach. A z ze zgrzaniem piasku na zimę też nie jest tak łatwo.

Z tych to mniej więcej powodów wróciłmy do posypywania jezdni środkami chemicznymi. Zużywa się ich mniej, a skutek jest lepszy.

Sama chemia też wszystkiego nie rozwiązuje. Najtrudniej jest na skrzyżowaniach. Jeśli nie oczyszczą ich ręcznie ludzie z zakładów pracy, którzy się do tego zobowiązali, to plugi przetrzucią tylko mokry śnieg i błoto z miejsca na miejsce, zapchając tym zwrotnice i zahamowania w komunikacji gotowe. Tramwaj ugrzęźnie, zablokuje jezdnię samochodem i korek gotowy. A zimą jest to bardzo niebezpieczne.

Ręcznie trzeba też oczyszczać prze-

biorstwa: MPK, MPO. My mamy na przykład ciężki sprzęt do montowania na „Tatrach”, ale na 9 „Tatr” możemy wykorzystać tylko 3, bo reszta stoi z „rysymi” oponami.

Nasz sprzęt, nasze samochody, pracują w zasadzie przez cały rok, nie ma ich kiedy remontować. A poza tym dostajemy samochody różnych marek, nie zawsze sprzęt przystosowany do samochodów jednej marki, daje się łatwo przemontować do samochodów innej marki.

„ODGŁOSY”: — A jakie jest z tego wyjście?

Z. GAJZLER: — Korzystamy z obcego sprzętu. Ale jest to wyjście na średnią zimę. Jak przyjdzie ostra, to nic nie pomoże. My w ogóle nastawiamy się na ogół na średnią zimę, bo to się tak jakoś układało. Ale przecież wcale tak być nie musi.

J. KORKOSIŃSKI: — Obecnie wiele się mówi, że wydaliśmy wiele pieniędzy na nowe inwestycje, ale w komunikacji i gospodarce komunalnej było — jak z tego widać — odwrotnie. Tu było za mało inwestycji. A jak nie wyprowadzimy tej dziedziny gospodarki z impasu, to przyczynimy się do klęski całej gospodarki.

A. SOBIERAJSKI: — Dziwna rzecz jest z tym sprzętem. Poczuliśmy się bardzo szczęśliwi, że ktoś wpadł na pomysł i zaprojektował plugi do ciężkich samochodów „Kamaz”. Ale Wydział Komunikacji UML do tej pory nie może znaleźć nam samochodów tej marki, z których można byłoby zimą skorzystać.

„ODGŁOSY”: — Choć „Kamazów” jest dziś pełno po ulicach.

J. KORKOSIŃSKI: — Uważam, że byłoby znacznie lepiej, gdybyśmy to my nasze „Kamazy” pożyczali budownictwu i zawsze, w razie potrzeby, mieli je do dyspozycji. A tak to są plugi, są samochody, tylko, że plugi sobie leżą osobno, a samochody jeżdżą osobno, bo to nie są nasze samochody, tylko my je musimy pozyczyc.

Tablice, na których jeszcze do niedawna królowały anonsy o zapisach na miód i cebule, stały się ostatnio zajmującą lekturą. Wybijają się na nich protokoły zebrań niezależnych związków.

Z tablicy ogłoszeń w łódzkim Teatrze Wielkim można wyczytać, że odnowa zaczęła się tu od chórzystów. 8 września wybrali oni swój komitet założycielski.

Już jednak 15 września dyrekcja, a wraz z nią reszta pracowników, dowiedziała się o ukonstytuowaniu się PREZYDIUM KOMITETU ZAŁOŻYCIELSKIEGO NIEZALEŻNEGO SAMORZĄDNEGO ZWIĄZKU ZAWODOWEGO. W jego skład weszło początkowo siedem osób: po trzy z chóru i baletu, jedna z pracowników krawieckich. Później, w połowie października, skład ten znacznie rozszerzono.

Prawdziwa „bomba” wybuchła jednak dopiero w dwa dni po wyborze prezydium. Zebrał się solisci, dyrygenci, asystenci reżysera, inspicjenci, korepetytorzy i suflerzy. Postulat, który umieszcili na pierwszym miejscu liczącej siedemnaście punktów listy, szybko rozkolportowała w środowisku „pocztą pantoflową”...

— To nie z woli związku, ale pracowników zrodziło się „wotum nieufności” dla dyrekcji — zastrzegają się na wstępie rozmowy członkowie prezydium. — Później „wotum” potwierdziła egzekutywa POP, a 7 października my...

— Piszac „wotum” wierzylismy, że popra nas inne zespoły — mówi Adam Duliński, śpiewak, jeden z sygnatariuszy pisma i jednocześnie przewodniczący komitetu założycielskiego NSZZ w grupie inicjatorów „wotum”.

To właśnie założyciele związku nadali kierunek teatralnym dyskusjom. Teatr Wielki — obok Muzeum Sztuki — reprezentował łódzkie środowisko kultury na pierwszej liście komitetów — członków Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ Ziemi Łódzkiej, którą ogłoszono 20 września w sali MPK (a wkrótce opublikowały „Odgłosy”).

Ala — podobnie jak w innych miejscach — zwolennicy Porozumienia Wybrzeża napotkali opory.

Tadeusz Witczak, kierownik mekskiej pracowni krawieckiej, zbierał deklaracje i postulaty w dziale dekoracji i kostiumów.

— Pojawili się próby dezinformowania, rozbicia jedności. Ludzie ze starego aktywu związkowego naklaniali kierowników do wycofania się. „Nie macie się co spieszyć” — mówili — poczekajcie na zarządzenia... Kierownicy chcieli przechwycić ster, podporządkować sobie ludzi. Mieli poparcie „starych” związkowców, dyrekcji. W pracowni krawieckiej — gdzie akces zgłosili wszyscy — założyliśmy więc własny komitet...

Na opory „góry” nałożyło się coś jeszcze. Wyszły na jaw zadawnione urazy i animozje, zagrały ambicje grupowe.

W Teatrze Wielkim pracuje przeszło osiemset ludzi. Jego strukturę tworzą trzy rozdzielone pionowo: wykonawców (solisci, chór, balet, orkiestra), techniczny i administracyjny oraz obsługi. Działają szeregi organizacji: POP, SPATIF, SPAM, ZZPKIS...

W tak szerokim i zróżnicowanym gronie nietrudno o konflikty, które nie zaleczone sumują się w pasmo napięć i przetrząsają w końcu w stan kryzysu, braku zaufania, niezadowolenia. Konflikt najbardziej w teatrze typowy wynika z naturalnych różnic dzielących zespoły artystyczne i pracowników technicznych.

Teraz też „techniczni” nie zamierzali z początku uznać pierwszeństwa inicjatyw choru, chcieli swojego komitetu. Byli tacy, co podkopywali, jęczyli: chcecie być przy chórze? Z drugiej strony dochodziły głosy solistów: Mamy być razem z szewcami i krawcami...

Marian Stepien, członek chóru, przewodniczący prezydium „Solidarności” mówi jednak coś co brzmi jak zapowiedź nowej „linii”:

— Jesteśmy w teatrze jakby przekrojem społeczeństwa. Są tu ludzie wielu zawodów i specjalności w nim istniejących. Musimy więc współdziałać, bo praca tych, którzy są na scenie, zależy od pracy wszystkich pozostałych zespołów.

Nowa płaszczyzna konfliktów zarysowała się jednak — w pierwszej fazie tworzenia związku — między „starymi” a „nowymi”. O działaczach rady zakładowej mówi się teraz, że jeśli czegoś żądali, coś postulowali, to tylko przy stole w teatralnym bufecie. Rozwój wypadków w kraju i w teatrze, choć początkowo nie zamierzali rezygnować i mieli za sobą kierownictwo, zmieknęły ich opór. Teraz „nowi” nie chcą jednak udawać tryumfatorów, sytuację nazywają po imieniu — walka... Ale przy tym chcą być sprawiedliwi:

— Musimy przestać patrzeć na siebie wrogo — mówi Krzysztof Pastor, młody solista baletu. — Dlatego nie można teraz nikogo piętnować. Nie



Foto: W. Małek

zawsze winni byli działacze rady; to struktura była robaczywa. Niektórzy cieszyli się autentycznym autorytetem i nie znaczy, iż nie mają go dzisiaj. Myślę też, że możemy mieć zaufanie i do ludzi z kierownictwa, pod warunkiem, że przestaną ulegać administracji.

Adam Białejczak, chórzysta, zastrzega się jednak:

— Do związku powinni zapisywać się tylko ludzie odpowiedzialni i z przekonania, a nie dlatego, że „robią

TOMASZ SOLDENHOFF

tak wszyscy”. Nie chcielibyśmy, aby do związku przeniknęły osoby skompromitowane. Czy wszyscy, którzy wstępują, mają uczciwe intencje?

Trzeba przyznać (mówią tak również członkowie prezydium), że po utworzeniu Tymczasowego Komitetu NSZZ dyrekcja wykazała się refleksją. Powołała Tymczasową Radę Pracowniczą — szersze, międzyorganizacyjne gremium — dla rozpatrzenia i opracowania przeszło 180 zgłoszonych postulatów. 19 września poszczególne grupy pracowników wybrały swych przedstawicieli, a postulat rozdzielenie między trzy komisje: problemów płacowych, socjalno-bytowych i zagadnień BHP. W skład komisji weszli także przedstawiciele „Solidarności”. Na wstępie, zaproszeli jednak przeciwko obecności działaczy rady zakładowej. Protest został przyjęty. Tymczasowa Rada stała się najbardziej aktualną reprezentacją załogi teatru.

Pierwszą fazę prac rady podsumowano w piśmie do Ministerstwa Kultury i Sztuki (z datą 1 października). Znalazły się w nim przede wszystkim postulaty finansowe, m.in. podniesienia stawek w obowiązującej tabeli plac, dofinansowania budżetu, dodatkowego przeznaczenia przeszło miliona złotych na wypłatę ekwiwalentów za odejście ochronną i roboczą, na podniesienie poborów pracowników przed emeryturą itp.

Ekspozowane miejsce zajął postulat rozbudowy gmachu, który po wprowadzeniu większej ilości przedstawicieli okazał się — w części użytkowej „zasczenia” — zbyt ciasny. Ważnym argumentem jest to, że obecnie brak miejsca na dekoracje uniemożliwia powiększanie bieżącego repertuaru.

Listę uzupełniają punkty, w których — jak czytamy — „ogół pracowników teatru wyraził poparcie dla ogólnopolskich postulatów”.

Tyle — w skrócie — pismo. Członkowie prezydium „Solidarności” przyznają:

— Trochę ubiegła nas dyrekcja, przekazując opracowanie postulatów radzie... Nasze działania w teatrze osłabia dotąd brak osobowości prawnej. Uznaliśmy jednak, że rada jest organem reprezentatywnym i że załatwienie postulatów za jej pośrednictwem jest bardziej realne. Jeżeli nasza lista postulatów wróci do teatru nie zrealizowana zgodnie z oczekiwaniami lub niecałkowicie, wtedy już my — jako zalegalizowany związek — przejmujemy ich załatwianie.

Na następne spotkanie — w tydzień po pierwszym — 10 października, członkowie prezydium przychodzą z wpiętymi w klapy niebieskimi znaczkami. Są proste: herb Łodzi otoczony nazwą związku. Pokazują też sporych rozmiarów skarbonek, umieszczoną przy drzwiach sali teatralnego bufetu. To na budowę pomnika Połegłych Stoczniovców.

Parę dni wcześniej delegaci załogi spotkali się — w obecności przedstawicieli władz — z dyrekcją. Wysłuchano wyjaśnień dyrektora, nie odrzucając jednak „wotum”, mówiono o aktualnych sprawach teatru, nie pomijając artystycznych, na które teraz zespoły również chcą mieć wpływ.

Teoretycznie możliwość takiego wpływu zapewniała dotąd Rada Artystyczna. Brakowało wszakże jej głosu w istotnych dla życia teatru kwestiach, np. doboru repertuaru, polityki obsadowej, zapraszania realizatorów i dyrygentów. W ostatnich latach z różnych przyczyn, m.in. statutowego zwiększenia zakresu prerogatyw kierownika artystycznego, głos ten osłabił. Rada spotykała się dwa razy w roku po to, aby — jak napisano w „wotum” — „wysłuchać exposé nowego dyrektora i podsumowania „sukcesów dyrekcyj”.

Tymczasem rada — zdaniem wielu pracowników — mogłaby stanowić panaceum na autokratyczne zapędy, na lansowany przez dyrektora styl rządzenia bez konsultacji z reprezentacją załogi (i preferowany przez kierownika artystycznego styl decydowania jedynie w oparciu o konsultacje z... dyrektorem), na niedemokratyczne traktowanie szeregowych pracowników, w porównaniu np. z zapraszaniem z zewnątrz „gwiazdami”. Przywrócenie rangi temu organowi — jako miejscu publicznego wypowiedziania zastrzeżeń i autentycznej dyskusji — byłoby jednym ze sposobów zagwarantowania wpływu zespołu na decyzje dyrekcyj i — kontroli jej artystycznych poczynań. Oczywiście, w tych działaniach rada nie mogłaby być osamotniona, wsparcie POP i związku zawodowego byłoby konieczne.

I tak — w rozmowie z członkami „Solidarności” wypływa sprawa dyrekcyj.

NOWE W WIELKIM...

Dzisiaj, w połowie października, jest już po rezygnacji dyr. Andrzeja Hundziaka. Ale w pierwszych dniach miesiąca, a i wcześniej, sprawa ta wywoływała dużo więcej emocji.

Nie chcę jednak zamieniać tego materiału w listę — nieraz bardzo emocjonalnie sformułowanych — pretensji i zarzutów, z których część można zapewne wytłumaczyć wieloletnim odsunięciem zespołu od możliwości współdecydowania o składzie dyrekcyj i losach teatru, gwałtownym — a dotyczącym nie tylko tej instytucji — protestem przeciw szefom przyniesionym w teczkach... Nie jest też mym celem szczegółowa analiza dotychczasowej merytorycznej działalności dyrektora Hundziaka i kier. art. W. Michniewskiego. Powinny zająć się tym władze kulturalne, a może też nasi krytycy muzyczni.

Piszac o atmosferze towarzyszącej powoływaniu nowego związku z Teatrem Wielkim, nie mogę jednak pominąć tej ważnej przyczyny, dla której właśnie tu, w gmachu przy pl. Dąbrowskiego, duch Porozumienia Wybrzeża trafił na tak sprzyjający grunt. Bo gdyby w teatrze tym nie działo się źle, a dyrekcja wywiązywałaby się z obowiązków, sprzeciwiłby się zespół wyrażony w „wotum nieufności”, poparty organizowaniem nowego związku, nie nastąpiłoby równie szybko.

Naturalnie, są i tacy, którzy pod powierzchnią konfliktu skłonni są widzieć jedynie rozgrywkę personalną, osobiste animozje, ambicje „odgrywania się”. Spotkałem się też z opinią, że dyrektorowi nie dano szansy wytłumaczenia się, a nawet i z taką, która całą sprawę łączy ze zdrażającymi się tu i ówdzie połowaniami na czarownice, do czego zachęca atmosfera panująca w kraju...

Sprawa jest jednak daleko poważniejsza i przeobraża się w problem wewnętrzny teatru, jeżeli konflikty wkraczają głęboko w artystyczne i społeczne funkcjonowanie teatru. Jesli mają wpływ na poziom i rangę uprawianej w nim sztuki.

Sezon 1979/80 był pierwszym rokiem pracy dyr. Andrzeja Hundziaka i kier. art. Wojciecha Michniewskiego na łódzkiej operowej scenie. Ze zmianą tą — przypomnijmy — opinia publiczna Łodzi wiązała spore nadzieje, choć od początku towarzyszyły jej również kontrowersje. Nie bez znaczenia były tu doświadczenia z poprzednim kierownictwem teatru, któremu mimo artystycznego autorytetu — m.in. wskutek nieostrożnych posunięć finansowych — nie udało się zrealizować ambitnie zapowiadanych się planów (z drugiej strony co prawda nie brakowało głosów, iż Łódź zbyt pochopnie pozbyla się wybitnego dyrygenta i znawcy problemów opery).

Otwarty został więc nowy kredyt zaufania, w czym — trzeba to powiedzieć — partycypowała również łódzka prasa, a m.in. „Odgłosy”. Tygodnik nasz, który z zasady nie chwalił dnia przed zachodem słońca, ale też nie starał się nigdy rzucić kłód pod nogi każdej — niosącej nadzieję odmiany na lepsze — inicjatywy, zamieścił (w nr 38 z ub.r.)

obszerny wywiad z nowymi szefami opery. Zarekomendował ich jako cenionych artystów i organizatorów (choć od razu było widoczne, że w dziedzinie opery i baletu mających mniejsze niż Bohdan Wodiczko doświadczenie). „Są tu świetne tradycje, dobra atmosfera, ukształtowany i stojący na dobrym poziomie zespół artystyczny, mamy też znakomite warunki techniczne rzeczywiście reprezentacyjnego Teatru Wielkiego, a ja chciałbym mieć swój udział w jego stałym rozwoju” — zapewnił z młodzieńczym optymizmem Wojciech Michniewski.

Tak więc — acz już wtedy niektóre sformułowania wydawały się dyskusyjne, inne na wyrost (np. zapowiedź powrotu do „teatru gwiazd” w sytuacji ograniczeń finansowych, zwłaszcza dewizowych, obietnice angażowania wybitnych dyrygentów i inscenizatorów oraz otwarcia „na wszystko co nowe”, bez orientacyjnego choćby zakreslenia granic eksperymentu), a i atmosfera w teatrze nie była znowu taka dobra — po dzieleniu się z czytelnikami nadzieją, że dwudziesty piąty sezon rzeczywiście — jak napisała wówczas w „Odgłosach” Ewa Pankiewicz — „otworzy szerokie perspektywy na dalsze lata działalności łódzkiej sceny operowej”.

Ala jubileuszowy rok nie potwierdził tych nadziei. Z pl. Dąbrowskiego zaczęły dochodzić sygnały coraz bardziej niepokojące. Z sześciu zaplanowanych teatr zmieslił w sezonie cztery sztuki, a „Tannhäuser”, zapowiadany jako „gwóźdź sezonu” okazał się

złoty w nowej inscenizacji ryzykownym eksperymentem, a także — co gorsza — kłosem wbitym między dyrekcyj i zespół.

Mimo takich efektów również drugi sezon rozpoczął W. Michniewski od głośnych pochwał pod adresem... swego teatru, dla „wysokiego poziomu zespołu”, „świetnych solistów” itd. Na zarzut przypadkowości w repertuarze odpowiedział dziennikarzowi łódzkiego „Expressu” (skąd pochodził też pochwały): „Repertuar jest dobrze wyważony”. A czy dostosowany do możliwości? Odpowiedź była znów optymistyczna: „Z całą pewnością”. Opini zespołu W. Michniewski niestety nie przytoczył.

Czy czytelnik śledząc te zapewnienia mógł choć przez chwilę pomyśleć o istnieniu kryzysu, który drażnił zasłużoną składnią łódzkiej sceny, zbliżał się właśnie do najostrzejszej fazy?

Gdy W. Michniewski udzielał tego wywiadu, w teatrze zaczynało wrzeć. 17 września na zebraniu wspomnianego już tu grupy pracowników sformułowano „wotum nieufności”. Przyjęto je w wyniku głosowania, przy 37 głosach „za” i 4 wstrzymujących się.

Czytamy w nim m.in.:

„Dyrektor odsunął się od zespołu (to także aluzja do częstych, nie zawsze — zdaniem załogi — wyjaśnianych i uzasadnionych wyjazdów — przyp. mój T.S.). Zespoły nie czują jego obecności na próbach i codziennych przedstawieniach, zarzut ten dotyczy również kierownika artystycznego. Stąd wynikają błędy obsadowe i brak rozeznania dyrekcyj w indywidualnych możliwościach solistów i innych zespołów artystycznych.

„Repertuar obecny jest już wygrany — czytamy dalej — a proponowany nie rokuje satysfakcji dla publiczności i artystów („Tannhäuser” nie powinien się ukazać w takim stanie scenicznym jak na premierze). Wprowadzenie wieloosobowej obsady powoduje fakt, że solisci śpiewają dane role raz na pół roku, nie-rzadko bez próby”.

„Dyrektor nie dostosowuje repertuaru do możliwości zespołów artystycznych — brzmia następne zarzuty — lecz tylko realizuje własne ambicje przy widocznych brakach niektórych głosów na poszczególne role, jak i przy ograniczonych możliwościach chóru itp. Dyrekcja powierza nieodpowiednim realizatorom przygotowanie pozycji, np. reżyser „Hrabiny”, reżyser i scenograf „Tannhäusera”. W doborze realizatorów dyrekcja kieruje się koneksjami i powiązaniami”.

Uff... może wystarczy, choć listę dałoby się ciągnąć, wydłużając np. o zarzuty z rozdziału „stosunki międzyludzkie („dyrektor na dystans”, autokratyczność, brak szacunku dla zasłużonych artystów, kierowanie się osobistymi sympatiami i antypatiami, utrzymywanie etatów dla „martwych dusz” itp.). Jak wyrok skazujący zabrzmiął wniosek „wotum”:

„Dyrektor i kierownik artystyczny nie są autorytetami operowymi i organizacyjnymi”...

Adam Duliński, jeden z sygnatariuszy „wotum”:

— Naszym marzeniem jest teatr z połowy lat sześćdziesiątych, teatr, w którym zaszczyt było pracować. Dlatego raz na panoszący się ostatnio bezduszny, biurokratyczny stosunek do ludzi. Nam naprawdę nie chodzi o personalne rozgrywki, lecz o powrót do teatru czegoś, czego nie da się ująć w żadnym punkcie „wotum”: twórczej atmosfery...

— W ostatnich latach teatr nasz stał się poligonem dla rozmaitych koncepcji i realizatorów, narzucających nam bez konsultacji — stwierdza Marian Stepien — Dyrektorzy muszą wreszcie zrozumieć, że teatr nie jest prywatnym ranchem... Ze za wszystko płaci społeczeństwo. Zapomniano już, że w Łodzi mogliśmy zawsze najbardziej liczyć na robotniczą publiczność. Nie negujemy konieczności wystawiania w sezonie jednej czy dwóch bardziej ambitnych pozycji. Ale podstawowy repertuar musi wynikać z naszej służebnej wobec widowni roli, musi być dostosowany do jej możliwości, tak jak i do możliwości zespołu...

W połowie października Teatr Wielki nie wyszedł jeszcze z ostrego wiru, na którym się znalazł. W wychodzeniu na prostą, w przywracaniu twórczej atmosfery, zaufania do kierownictwa, demokratycznych metod, wielka rola przypada nowemu związkowi. Ma on poparcie większości (przeszło 90 proc. załogi teatru zgłosiło swój akces do „Solidarności”).

Staje jednak przed odpowiedzialnym zadaniem, które wynika nie tylko z oczekiwań zespołu. Także ze związkowego statutu, gdzie w paragrafie szóstym zawarto główne cele istnienia „Solidarności”. Każdy z nich pasuje do opisanej tu sytuacji.

Mowa jest więc tam m.in. o „zapieczeniach praw pracowniczych”, o „harmonizowaniu prawidłowego działania zakładu pracy z interesami pracowników”, o „szerzeniu demokratyzmu i umacnianiu koleżeńskich solidarności”, o „zapewnianiu pracownikom warunków podnoszenia kwalifikacji zawodowych”.

Celem „Solidarności” jest również „kształtowanie polityki gospodarczej i społecznej”, nie tylko w wielkiej skali — kraju, także — zakładu pracy. Nie sposób wyobrazić sobie teatru bez funkcji kontrolnych, zwłaszcza wobec administracji, jak też bez wpływu na sprawy finansowe i placowe.

Te wszystkie zadania muszą przypaść również NSZZ w Teatrze Wielkim. Wzmyślnie sprawy zespołu baletu. Co tu wysuwa się na pierwszy plan? Mówi Krzysztof Pastor:

— Przede wszystkim chcemy zgłaszać nasze propozycje repertuarowe, które dotąd były niemożliwe do wykonania. Tymczasem repertuar baletu jest zbyt wąski i za mało zróżnicowany... Chcemy także zacieśnić istniejące podziały między solistami a członkami zespołu, korygującymi a śpiewakami, pogłębiać solidarność. Pragniemy mieć wpływ na politykę personalną i placową z uwzględnieniem — w balecie — dwóch głównych kryteriów: talentu i dorobku, nie lekceważąc jednak ważnej w tym zawodzie sprawy wieku.

Rozwiązania domaga się wiele spraw socjalno-bytowych (np. teraz wolnych sobót, służby wojskowej tancerzy). Chcielibyśmy być przez cały czas zauważalni, chcemy istnieć, a nie tylko wkraczać w sprawy do-rzecznych. Nie zamierzamy przy tym być contra kierownictwu baletu, a raczej będziemy dążyć do nadania mu większej uprawnień. Balet w naszym teatrze musi mieć większą samodzielność i autonomię. Służąc temu powinniśmy częściej występować poza macierzystą sceną, licząc się z kontaktami z instytucjami, stypendia i rozmaite konfrontacje.

Rola związku zawodowego jest dążenie do tego, aby zespół baletu nie był gorzej traktowany niż solisci czy orkiestra. A czy deklaracje za „Solidarnością” miały już wpływ na pracę zespołu? Mogę powiedzieć, że tak... Polepszyła się atmosfera, poprawiła dyscyplina pracy.

Adam Duliński:

— Wierzę, że jedno z ram „Solidarności” podbudowuje nas wszystkich psychicznie. Jeszcze do niedawna byliśmy bardzo rozbitci, choć istniały różne społeczne czynniki...

Marian Stepien:

— Wzięli się za organizowanie związku ludzie, którzy akurat znaleźli się na polu bitwy... Działamy nie wiedząc czy sprawdzimy się, są też ludzie przypadkowi. Ale chcemy — i będziemy — dążyć do stabilizacji.

Adam Białejczak wyjmuje z teczek pismo do dyrekcji. Czytam, że w związku z przejściem większości pracowników teatru do NSZZ rada zakładowa oddała mandaty i przekazała działalność tymczasowemu prezydium „Solidarności”.

W ostatnim zdaniu prezydium prosi dyrekcję o zamówienie pieczętek. 18. X. 1980 r.

WODA NA STUDENCKI OGIEŃ

Dalszy ciąg ze str. 1
nych przez M. Czernego („Student” nr 20/280 z dn. 9.10.1980):
„Przedstawiciele studentów powinni być dopuszczeni do głosu w sprawie wszystkich problemów szkoły wyższej; od programów nauczania (co niewątpliwie jest najważniejsze), przez politykę kadrową i ocenę pracy dydaktyczno-wychowawczej pracowników uczelni (co formalnie jest już nawet w części przyznane, choć w małej części realizowane), aż po program badań uczelni — szczególnie w związku ze studentem — ruchem naukowym. Ze zaś będą często zapalczywi, a jeszcze częściej naiwni — mają do tego prawo”.

Chwytliwe to! Tylko kto ma program taki realizować — i stoła idealna, czy student realny?

Odpowiedzialności i wiedzy — czy im starczy?

Hasło dopuszczenia studentów do pełni współzawodnictwa uczelnianego brzmi ładnie. Jednak demokracja to ciężka praca, a bardzo trudna praca oraz doskonalący obowiązek (o czym studenty jeszcze nie muszą wiedzieć). To przede wszystkim obowiązek odpowiedzialności i rozwagi w mowie i w czynach. To również obowiązek zdobywania wiedzy, niezbędnej do forsowania jakiegokolwiek poglądu; i podejmowania decyzji w pełni świadomych; to gotowość ponoszenia ofiar dzisiaj, z nikłą nadzieją na nagrodę jutro.

To łatwo chce rzucić uczelnią za pośrednictwem głosów w senacie. Jednak uczelnią to kolos, zatrudniający po kilka tysięcy pracowników i do 20 tys. studentów; powiązany tysiącami nici z resztą gospodarki narodowej. Mołoch ten wytwarza „rzecz” stokrój delikatniejszą od najbardziej finyzyjnych tworów techniki, albowiem wytwarza informację naukową i kształtuje umiejętności, które decydują o losach społeczeństwa przez najbliższe półwiecze. Trzeba się po prostu znać na wielu sprawach, aby odpowiedzialnie decydować o funkcjonowaniu uczelni jako jednostki administracyjnej, naukowej i edukacyjnej. Administracja można się nauczyć (na studiach!) — do nauki jednak i edukacji trzeba mieć wyjątkowy talent i dar patrzenia w przód bo obie ku przyszłości ciążą.

Realnym studentem, takim jakich mamy, czy starczy sił, wiedzy i serca do współzawodnictwa? Starczy poczucia odpowiedzialności przy podejmowaniu decyzji, skoro ich skutki ciążą będą na uczelni nawet za lat 20—30, gdy obecnych studentów szukać będzie można jak wiatru w polu?

Zresztą, czy dotąd nie zasiadali studenci w senacie? Zasiadali, lecz słabowato działali. Wiara, że „kupa” i głosem decydującym można więcej zdziałać, to wiara w możliwość zadawania uroków i ich odczytywania. I nie tu nie zmienił nawet przyznanie studentom senatorom statusu nieetykalności na wzór poselskiej — bo i to jest jednym z postulatów (wygłoszonych w progr. I PR dn. 11.10.1980).

Nawiasem zaś — chciałoby się usłyszeć od studentów, co chcą wnieść pod obrady senatu? Co chcą tam wyczyniać, skoro potrzebny jest aż immunitet poselski?

Wpływu na programy — czy nie mieli?

Nauczany — traktowany jako podmiot nauczania — winien mieć pewien wpływ na program; to oczywiste. Jednak czy student może ocenić, na ile taka np. paleontologia jest niezbędna do „zaokrąglenia” programu studiów biologicznych, jeżeli owej nauki o organizmach prehistorycznych nie zna; nie wie, ani jaką ona zajmuje pozycję na tle pozostałych galei wiedzy przyrodniczej, ani jakie idee ogólnobiologiczne oparte są o dane z wykopaliści?

Nieprawdą jest zresztą, jakoby student nie miał dotąd wpływu na programy. Mieli, lecz kończyło się to frustracją. Przykładowo, studenci pewnej specjalizacji wykresili genetykę z rejestru zajęć obowiązkowych. Bo choć do genetyki wiek XXI należy, to młodzieży wydawała się ona piętym kołem u wozu. Było to w Łodzi, niedawno. Czy ta „genetyczna” luka w wykształceniu, narzucona przez samych studentów, nie odbija się na ich horyzontach myślowych, nie wspominając o przygotowaniu fachowym?

Niech więc studenci kształtują program, byle by to nie było kastrowanie programu.

Opinii o nauczycielach — czy nie urabiali?

Powiedzieć łatwo, studentem będąc: chcę ocenić swoich nauczycieli, włącznie do weta w sprawie ich zatrudnienia. Nie ulega wątpliwości, że opinia podopiecznych powinna w jakiejś mierze ważyć na ocenach, wystawianych za pracę w charakterze nauczyciela akademickiego. Nie dajmy się jednak zwariować!

Po pierwsze, nie stworzono jak dotąd żadnych systemów oceny jakości pracy nauczycielskiej, chociaż kryteriów datoby się zebrać kilka, w miarę jednoznacznych i sprawdzalnych. Królkuje ocenianie „po uważaniu”. Jeśli „dorosłym” nie udało się opracoować spójnego systemu ocen i premiowania, to skąd pewność, że w studenckich rękach znalazło się panaceum? Jakaż to wróżka czy im nagle przemiała woda prawdy i sprawiedliwości?

Po drugie — czy student naprawdę będzie zainteresowany, by wybierać nauczyciela dającego co prawda szczerą wiedzę, lecz i żądającego w zamian dobrego jej opanowania? Nauczyciela — uczącego myślenia, stosującego metody rozbudzające ciekawość — ale też topiącego beznamiętnością, dojrzałością i owce pędy? Deklaracjami i chęciami drogę do piekła nie od dziś brukowano. I nie od dziś wiadomo, że każdy nauczany zaintereso-

wany jest w tym, aby potrzebnie stopniowo zdobywać wysiłkiem minimalnym. Mowa o normalnych uczniach, a nie o wyjątkowych zapalczykach. Który z Czytelników, podających się np. kursowi na prawo jazdy, może powiedzieć, że pożąda więcej i więcej wiedzy o przepisach, karburatorach, panewkach i smarowaniu? Prawie każdy chciałby „tę całą teorię” zaprzatać jak najmniejszą głową. I gdyby nie przymus, to prawie każdy by zasiadał za kierownicą w ogóle bez kursów. Kwalifikacje to nie coś, co by się chciało samo podnosić, jak zwiędła łądoga po podlaniu wodą. Podnoszenia kwalifikacji trzeba wymusić. A już na pewno przy próbach podmiotowego traktowania ucznia należy w porę klasnąć tamę jego naturalnym przeciwieństwem — obniżaniem wymagań i poziomów.

Niechaj studenci sami sobie odpowiedzą, byle szczerze, czy rzeczywiście spaleni są przez żądę poznania? Jako byty studenci mogą powiedzieć, że najlepiej przez brać studentką był widzianny asystent, który swoje zajęcia prowadził bez przerywania snu w audytorium. Najlepszymi ćwiczeniami były ćwiczenia odwołane. Prawdziwą zmorę stanowił dopiero ktoś, czyje nazwisko li czyło się w nauce — taki sy-pał perłami, lecz przy egzaminie nie dawał się zbywać plewami. I mogę też przypomnieć, że brać studentką wspólnymi siłami — więc „demokratycznie”, pozbawiała prawa wykładowca niejednego specjalistę. Bywało tak w najsza-cowniejszych uczelniach. Jaka gwarancja, że historia się nie powtórzy?

Nauczający to ludzie jak inni, choć zawód ten wymaga powołania. Przeto i wśród nich są jednostki przypadkowe, zwłaszcza iż do zawodu tego też wiodły boczne furtki. Przeto nauczani powinni mieć głos oceniający. Trzeba jednak pierwaj sprawdzić, czy ten głos jest poważny, czy nie płynie z lenistwa lub z podbiechtania. A wygodnictwo oraz „napuszczenie” jest tym, co należy w pierwszym rzędzie podeszczać przy wszelkich zastrzeżeniach studentów pod adresem nauczyciela. Dopiero w następnej kolejności idą faktyczne przywary, dyskwalifikujące człowieka jako nauczyciela.

To łatwe, a na pewno wygodne — wpuszczać studenta na grzędę decyzji personalnych, dać studentowi prawo wystawiania laurów profesorem. Tylko że to wielce śliski! Tylko niech temu prawu towarzyszy dojrzałość, wiedza, rzetelność i odpowiedzialność; no i jakieś gwarancje. Niech temu nie przyświeca cytowane już beztroskie rozgłoszenie: „Ze zaś będą często zapalczywi, a jeszcze częściej naiwni — mają do tego prawo”.

Otoż nie — nikt nie ma prawa z zapalczywością i naiwnością pchać się na scenę życia publicznego! Mimo wszystko, lepiej pierwaj pokonać szkołę. I niech te szkoły będą raczej tradycyjne, niż gdyby miały być areną buszowania milusińskich zajacków. Wole, by te szkoły kierowane były przez „wapno”, niż słomiane ognie.

Do nauki — dostępu nie mają?

Chcą mieć studenci dostęp do planów naukowo-badawczych uczelni. Zaskakujące! Należałoby się bowiem spodziewać raczej postulatów dostępu do nauki jako takiej, do laboratorium — a nie do planów perspektywicznych, za sporządzaniem których kryje się nie tylko morderca biurokratyczny, ale i potrzeba wiedzy, ogromne ryzyko, a w dodatku i problem tajemnicy państwowej lub gospodarczej, a również coś takiego jak etyka i brzemie wtajemniczenia — konieczność trzymania języka za zębami.

Gdyby studenci chcieli pracować naukowo, to bym taki postulat pojmował. Jeśli chcą kształtować i kontrolować plan naukowo-badawczy Instytutów, to tego nie rozumiem. A skoro chcą — to oznacza to nie więcej, jak dziecięca ochotę pobawienia się granatem bez zawleczenia. Na miłe od tego żądania czuć, że ktoś tu komuś szyje buty bardzo grubym powrozem. W co, i komu, daj-

cie się wrabiać, panowie studenci?

Co się nauki tyczy, to studenci mają do niej wolny dostęp. Nie wina to nauczycieli, że studenci nie przepadają ani za szperaniem po półkach bibliotecznych, ani za doglądaniem aparatury laboratoryjnej, ani za odpowiedzialnym włączeniem się do programów naukowo-badawczych. Oferty (płatne) leżą — proszę je tylko zechcieć łaskawie podjąć; pamiętając jednak, że nauka to zaprzeczenie swawolności. Taryf ulgowych tam nie ma. Chęci nie wystarczą aby ją uprawiać. Talent jest potrzebny; a to coś więcej, niż indeks.

Akademie — kim stoją?

Na pierwszy rzut oka nie ma nic bardziej demokratycznego, jak idea podziału rządów uczelnią wedle klucza: po 30 proc. nauczycielom akademickim, administracji oraz studentom, a pozostałe 10 procent czynnikom innym. Jednak „masa studencka” to element przepływowy. Administracja też nie stanowi o obliczu akademii — poszczególne urzędnicy są stosunkowo łatwo wymienialni.

Prawdziwie trudni do zastąpienia są dopiero nauczyciele akademicki. I to nie tyle ci młodzi, nastawieni w swoich motywacjach na doktoraty i habilitacje, ile ci już samodzielni — zdeterminowani związkiem swe życiowe posłannictwo z wybraną dziedziną wiedzy i z karierą wybraną uczelnią. Ci więc, co pracą i dentyfikują się z uczelnią; nadają jej rangę przez wysiłek, liczący dziesięciolecia. I — co ważne — ci, co zostali wyselekcjonowani przez „samo życie”. O co tu chodzi? O to, że przeciętny profesor więcej ma danych ku temu, by rozznawać się w nauce i dydaktyce, niż asystent czy student.

W sprawach uczelni równy głos dawać studentom i profesorom — czy naprawdę sprawiedliwe by to było, i czy z korzyścią dla edukacji narodowej, patrzonej dalej niż po najbliższy dyplom magisterski? Byłaby to karykatura demokracji!

Gros kadry nauczającej ma na oku przede wszystkim dobro młodzieży, pragnie z nią przyjaźni i porozumienia, bez których nie ma sukcesu dydaktycznego. Zle byliby, gdyby uczucia tej czystej przyjaźni zżamane być miały przez interesowne dusey. Większość kadry nauczającej to ludzie kulturalni, szanujący studenta, dostrzegający w nim obywatela, który przejmie stery, i starający się go do tych obowiązków przygotować. Wątpię jednak czy — jako nauczyciel akademicki — mógłby zachować szacunek dla studenta, gdyby mi ten równocześnie głosem utracił projekt, który ja stwarzałem na podstawie wieloletniej pracy, przemysłu, i dyskusji z innymi fachowcami. a on go może ocenić z pozycji „bo tak widzi mi się”.

Wystawiam kartę nieufności studentowi? Nie. Pragnę tylko gwarancji, że jego entuzjazm i naturalna ufność nie zostaną nadużyte; wykorzystane przez „szare eminencje” do osiągnięcia mniej szlachetnych celów. Lepiej więc dobrze konia obejrzyć, nim się go do stajni wprowadzić!

Student realny — jaki jest?

Student idealny, jaki być powinien, każdy wie! Utalentowany; lotny intelektualnie; pracą nad sobą zmieniający przyrodzone zdolności na realne umiejętności. Otwarty na rzeczywistość. Wiedzę fachową chłonący jakby mimochodem, tak mniej więcej na połowę wysiłku związanego ze studiowaniem. Reszta czasu powinna być wykorzystywana na to, by uczyć się, jak być obywatelem — uczyć się patrzenia dobra własnego dopiero poprzez dobro ogólne; uczyć się rządzenia Rzeczpospolitą i brania za nią odpowiedzialności; uczyć się spojrzenia na dzisiaj z perspektywy tysiąclecia historii naszego narodu, po-

znawać i rozumieć mechanizmy rządzące dniem dzisiejszym; kreslić śmiało perspektywy przyszłości. Nie bać się ryzyka związanego z zejściem z udeptanych ścieżek na bezdroża, jeśli tym sposobem nowych dóbr przysporzyć można.

Student idealny powinien więc myśleć i nie bać się działania. Powinien być realistą, ale ze sporym багаżem ideałów — inaczej nie da się socjalizmu ze sfery teoretycznej przenieść do przasnej rzeczywistości. Z takim studentem — fakty — można współrządzić. I byśmy sobie życzyli, aby tak właśnie studenci byli.

Realny zaś, a przeciętny student, jaki jest, też każdy widzi. Marzeniem swoim dość bliskie opłotki stawia. Chce mieć i posiadać — nie pytając za co; raczej być kimś, niż zrobić coś. Jeżeli marzy mu się latanie, to takie bardziej kacze niż orle; przy czym kaczką to domowa a nie dzika, nie ta zmuszona do istnienia w rzeczywistości nie pozbawionej jastrzębi i szczupaków. Może to cierpka ocena, ale chyba niezbyt daleka od prawdy.

Student ten nie jest też trapiący przez bardzo przystępne ciagoty do osiągnięcia mistrzostwa zawodowego. Stopień „państwowy” całkowicie zaspokaja jego ambicje. I to mimo wprowadzenia bezpośrednich zachęt materialnych i moralnych pod postacią nagród, dyplomów i medali, nie licząc prawie bezpłatnych wyjazdów zagranicznych. A jednak kolejka po te dobra — krótka! Czyżby dlatego, że na dobra te należy zapracować?

Mają studenci pretensje o to, że „Są przecież wśród studentów indywidualności i nieprzeciętne jednostki, ale system wychowawczy sprawia, że zabija się te indywidualności” (U. Bugajska); że studia są skostniałe; że wymaga się powtarzania „jak za panią matką”...

Zażośmy, że stanowi to całą prawdę. Ale czy takie zrezy-mowanie studiów nie jest przypadkiem spowodowane przez to, co nazywa się inercją masy? Z chwilą otwarcia możliwości studiowania trybem indywidualnym (czy wielu studentów, tak ponoć spragnionych wiedzy, skorzystało z tej szansy?), oficjalnie uznano, że poziom zajęć dostosowuje się do poziomu słuchaczy. Czyż może nauczyciel narzucić tempo, gdy widzi, że „masa” nie daje się porwać? Może chwycić się różnych sposobów i chytrych sztuczek, aby pobudzić słuchacza do inwencji, twórczego niepokoju, współpartnerstwa — co jednak robić, jeśli słuchacz żadnym sposobem nie daje się sprokować, leżą jak ciasto na stolnicy? Czego się jeszcze chwycić — wjechać na salę wykładową na pegazie?

Wnioski?

Młodzież mamy taką, jaką była kształtująca ją rzeczywistość, bo w tej ostatniej leżą korzenie dobra i zła. Jest taka, jaką było jej chowanie. Jeśli pokarmem jej była „mowa-trawa”, to nic zaskakującego, że jest ospała. Ospalność obec-

nych studentów nie pojawiła się na uniwersytecie. Oni na-byli jej znacznie wcześniej. I pozbęda się jej, gdy zobaczą, że w praktyce naprawdę popłaca wiedza i praca; facho-wość; nastawianie karku za ideały; że popłaca własny sąd i oryginalność myślenia.

Póki co, brać studentka ani nie jest, ani nie potrafi być samodzielną. Nie ma również pojęcia o tym co za demokra-cją kryć się winno. Ryzykow-ne byłoby dawać jej daleko idące prawa rządzenia uczel-nią zwłaszcza iż nie wiadomo, czy praw tych rzeczywiście pożąda; i skoro nie ma możli-wości wyegzekwowania obo-wiązków, za prawami tymi plynących. Studenci powinni przede wszystkim studiować — po to są wszak powołani; po-winni też rządzić tym, na czym mogą się znać. Powinni przede wszystkim udowodnić, że po-trafią rządzić się sami; że będą w stanie sprostać brzemieniu współpartnerstwa w ewen-tualnym zarządzaniu persone-lem, edukacją i nauką akade-micką. Oddawanie 30 proc. głosów studentom w senacie, czy radzie wydziału już teraz, wyłącznie na kredyt, to więcej niż groźba anarchii. To — pew-ność bezholowia!

Na dziś żądamy od studen-tów, aby lepiej niż dotąd wy-wiazywali się ze swego pod-stawowego obowiązku — stu-dowania; aby za ich dyploma-mi kryły się wysokie umie-jętności fachowe, rzeczywiście zdobyte, a nie siła wite przez nauczycieli akademickich. Niech się uczą demokracji i niech się nauczą, że praw nie da się oddzielić od obowiąz-ków, jak śmietanki od mleka; że na prawa trzeba sobie za-służyć odpowiedzialnością, roz-wagą i gotowością podłożenia obowiązkom. Olej w głowie a nie bełty — oto co jest cenne.

Licencji na rządzenie uni-wersytetami nie kupimy, i nikt nas nie uwolni od obo-wiązku myślenia o własnym systemie edukacyjnym. Z ucze-lniami jest niewesoło, bo nie rośli i nie działali w próżni. Trzeba pracować nad ich ulepszeniem. Praca ta jed-nak nie może być pochopna, bo zło dotychczasowe w edu-kacji narodowej w dużej mie-rze z pochopności i nierozwa-gi się brało; z patrzenia za tym tylko, by potrzeby chwili zalać; i z tego się brało, że niedorzeczne lub niedowar-zone pomysły bez namysłu w czyn wcielano.

Samorząd studentów i profe-sorów? Tak! Ale w miarę kwalifikacji, strefy wiedzy, u-motywowanych racji i przy-pamiętaniu, że racja zwykle o-mija jarmarki. Mądrości nam trzeba — a ta w ciszy się klu-je, w czambuł niczego nie po-tępia ani nie chwali, od każ-dego bierze co dobre; immuni-tetów nie żąda, władzy unika, a mimo o zawsze miewa o-statnie słowo. Studentem będąc wiedzieć warto, że mądrości w uczelniach trochę więcej, niż gdzie indziej; znajdzie ją — kto szuka; przeproszę — nikt nie jest w stanie.

Ten kubek wody, jaki wyle-wam na studenckie ognie, nie oznacza, że zachwiał się mo-je wysokie mniemanie o stu-dentach. Szanuję ich i mniem-am, że ten tylko się czubił, kto się lubi. Prawdziwych stu-dentówżców poznać zaś po tym, że każdą i podprowadza-ją.

J. STANISŁAW KNYPL

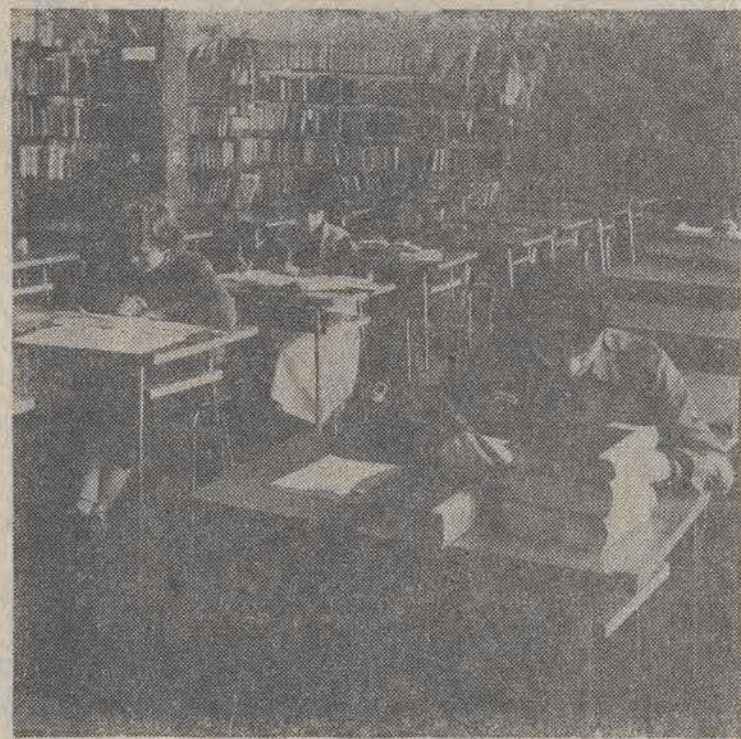


Foto: R. Łucyszyn

Od dłuższego już czasu podaż prasy jest mniejsza od popytu. I to zarówno codziennej, jak i tygodniowej. Przed kioskami „Ruchu” tworzą się kolejki po gazety, bo ludzie oczekują wiadomości o tym wszystkim, co dzieje się w kraju i na świecie. Ze względu na ograniczone nakłady prasy codziennej i tygodniowej nie mają jednak pełnego dostępu do informacji. Dlatego postanowiliśmy udostępnić Czytelnikom nie tylko poglądy prezentowane na różnych łamach czasopism, ale także refleksje, jakie te poglądy wywołują.

Zaczynamy nasz przegląd od nr 9 z września 1980 roku organu teoretycznego i politycznego KC PZPR

„NOWE DROGI”

Miesięcznik dotarł do nas ze znacznym opóźnieniem. Okazało się — jak to wynika z informacji otrzymanych przez redakcję w dyktando „Ruch” — Śródmieście w Łodzi — że do blisko milionowego miasta dotarło o połowę mniej egzemplarzy, niż docierało normalnie. Powstało pytanie: — czy mniej wydrukowano egzemplarzy „Nowych Drog”, czy też mniej przysłano do Łodzi? Jeśli wydrukowano tyle samo egzemplarzy, co zawsze, to rodzi się pytanie, co się stało z resztą, skoro do Łodzi przysłano jedynie połowę normalnie otrzymywanego limitu? Gdzie podziła się reszta?

W tymże 9 numerze „Nowych Drog” redakcja prezentuje Czytelnikom wybór poglądów Włodzimierza Lenina. Jest tam między innymi i tak pogląd:

„Czas już doprawdy odrzucić stanowcze tradycje sekiarskiej kółkowatości — w partii opierającej się na masach — wysunąć zdecydowane hasło: więcej światła, niechaj partia wie o wszystkim, niechaj będzie jej dostarczony cały, stanowczo cały materiał do oceny wszystkich bez wyjątku rozbieżności, nawrotów do rewizjonizmu, odstępstw od dyscypliny itd. Więcej zaufania do samodzielnego sądu masy pracowników partyjnych; oni i tylko oni potrafią uśmierzyć nadmierne podniecenie skłonnych do rozłamu grupek, potrafią swym powolnym, niedostrzegalnym, lecz za to wytrwałym oddziaływaniem wpoić im „dobrą wolę” — przestrzegać dyscypliny partyjnej, potrafią ochłodzić gorączkę anarchistycznego indywidualizmu, potrafią przez sam fakt swej obiektywności zadokumentować, dowiedzieć i unaczynić znikome znaczenie rozbieżności, wyborytanych przez ciężące ku rozłamowi elementy”.

Mimo że te słowa zostały napisane dość dawno i w zupełnie odmiennych warunkach historycznych, to i do dziś nie straciły swej aktualności. Przede wszystkim dlatego, że ogromna masa członków partii musi wiedzieć, aby móc sądzić. To znaczy, że musi mieć maksimum informacji, aby na ich podstawie móc formułować swoje poglądy i opinie. Jeśli więc — jak mnie poinformowano — zamiast 9 numeru „Nowych Drog” niektórzy prenumeratorzy otrzymują zwrot pieniędzy, to ich to zupełnie nie satysfakcjonuje, bo oni chcą mieć materiał do przemyśleń, a nie koszt numeru 9 „Nowych Drog”. W najbliższym czasie ukazuje się numer specjalny „Nowych Drog” i sądzę, że dotrze on do tych wszystkich członków partii, którzy chcą i powinni mieć pełen materiał z VI Plenum KC PZPR, aby na jego podstawie mogli wyrobić sobie poglądy na temat aktualnej sytuacji w partii i jej aktualnej linii.

IV Plenum KC PZPR z 24 sierpnia 1980 roku należy już do historii. Ale przecież warto sięgnąć do materiałów tego plenarnego posiedzenia KC PZPR, aby uświadomić sobie, jak ewoluowały poglądy, jak zmieniały się oceny naszej rzeczywistości. Jeśli mamy myśleć dialektycznie, jeśli mamy oceniać rzeczywistość zgodnie z prawami dialektyki, to musimy — my członkowie partii — wiedzieć nie tylko, jak kształtują się oceny aktualnej rzeczywistości, ale i jak kształtowały się oceny w niedalekiej przeszłości. Tym bardziej, że już kilka razy odwołaliśmy się do przeszłości, zaprzeczając temu, co w tej przeszłości osiągnęliśmy.

Czy mamy powody do tego, aby wstydić się naszej przeszłości?

Nie sądzę!

Ale przecież swego czasu skrajnie wymazałyśmy z kart naszej historii wielu działaczy rewolucji 1917 roku. Przez pewien czas nieobecny w niej był Bolesław Bierut. Dopiero zupełnie niedawno postawiono mu pomnik w Lublinie. Wymazałyśmy swego czasu Władysława Gomułka, choć przecież dwukrotnie w najnowszych dziejach spełnił historyczną rolę. Będzie niedobrze, jeśli z dziesięciolecia 1970—1980 wymażemy postać Edwarda Gierka, bo będzie to fałsz historyczny, tak jak fałsz historycznym było wymazanie innych postaci, które w naszych dziejach odegrały wcale niebagatelną rolę.

Nie można tworzyć pełnego obrazu naszej najnowszej przeszłości pomijając te i inne postaci, które w tej przeszłości odegrały ważną rolę, nawet jeśli skutki ich działania były ujemne i dziś musimy ponieść tego konsekwencje, jak nie można też pomijać różnych faktów.

Materiały IV Plenum KC PZPR opublikowane w numerze 9 „Nowych Drog” należą już do historii. Ale jest to historia najnowsza. I dla jej pełnego zrozumienia ważne jest stwierdzenie Stanisława Kani zawarte w przemówieniu wygłoszonym na tym plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego:

„Wystąpienia strajkowe w kraju trwają już od 1 lipca. Objęły one czołowe i jakże często szczytujące się bogatą rewolucyjną tradycją zakłady przemysłowe. Początek był w Mielcu, w nowoczesnej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego, później Żyrardów, wreszcie Lublin i Ostrów Wielkopolski, gdzie miały miejsce poważne strajki, obejmujące praktycznie całe miasto. W Lublinie został objęty strajkiem również węzeł kolejowy, co paraliżowało na tym obszarze komunikację.

Mieliśmy też strajki w stolicy, bo nie pracowała Fabryka Samochodów Osobowych, Ursus, czy też większość miejskiej komunikacji. Miała swoje strajki w zakładach przemysłu lekkiego również Łódź i woj. łódzkie. W sumie w ciągu tych niespełna dwóch miesięcy strajki wystąpiły w 533 zakładach i objęły 640 tys. zatrudnionych w 49 województwach”.

Był to największy, najgłębszy kryzys z dotychczas przeżytych. Kryzys, z którego wychodzimy bardzo powoli i z dużym trudem. Ale wrócimy jeszcze do przeszłości tak niedalekiej. Bez jej pełnego zrozumienia, nie będziemy w stanie wyjść w pełni z tego kryzysu. I dlatego potrzeba, aby jak najwięcej członków partii mogło się zapoznać z faktami, z poglądami głoszonymi jeszcze nie tak dawno na forum najwyższej partyjnej instancji. Oto, co mówili między innymi na IV Plenum KC PZPR Antoni Polowinski:

„Po prostu w wielu zakładach nam powiedziano, że poinformowaliście nas po raz pierwszy tak szczerze i tak szeroko, ale powtarzacie się, nie odpowiadacie w sposób konkretny i jednoznaczny na problemy, które wysuwamy. Nie dajecie konkretnych odpowiedzi”.

Czy już dziś odpowiadamy w sposób konkretny? Nie jestem, co do tego przekonany. Oto na przykład minister komunikacji Mieczysław Zajfryd mylił się przed kamerami telewizji w rozmowie z kolejarzami przeprowadzającymi głodówkę.

Jeszcze jedno przypomnienie z obrad IV Plenum KC PZPR. Mówił o tym Jan Łabęcki: „Trzeba w końcu zaryzykować powiedzenie, o czym zresztą wielu towarzyszy mówiło, że partia winna zdobyć się na wysiłek zrzućcia brudów z własnych pleców i to niezależnie od zbudowanego stanowiska i szczebli. Liczy się tylko praca, nie piękne słowa. Każdy powinien być rozliczany z pracy jaką wykonuje, i z efektów tej pracy. To są żądania pracowników stożni od dłuższego czasu, z kampanii przedzjazdowej, z kampanii pozjazdowej i w tej chwili komitetów strajkowych. Przecież te hasła się powtarzają, to są nasze hasła, nie dajmy ich sobie zabrać. Te hasła musimy w końcu zrealizować, wcześniej czy później. Musimy pewne słuszne sprawy legalizować i dawać im światło dzienne”.

Czy już wszystko w tej słusznej sprawie już zrobiliśmy?

Dyskusja trwa. Ale w tej dyskusji coraz mniej liczą się słowa, coraz więcej — fakty. Faktem są nowe związki zawodowe. Są, istnieją, działają. Część z nich została zarejestrowana. W piątek, 24 października 1980 roku, Sąd Wojewódzki w Warszawie dokonał rejestracji „Solidarności” z Gdańska, choć forma tej rejestracji nie zadowoliła związkowców z „Solidarności” i zapowiedzieli odwołanie się do Sądu Najwyższego, do czego mają prawo. Jednym z powodów tego niezadowolenia związkowców „Solidarności” jest problem strajku. Tu chciałbym wrócić znów do przeszłości i przypomnieć, co na ten temat mówiono na IV Plenum KC PZPR.

Stanisław Miśkiewicz: „2. Prawo do strajku. Jak nas uczy historia — to w praktycznym życiu strajki zostały zalegalizowane”.

Stefan Olszowski: „Niezbędnym obowiązkiem związków zawodowych jest czuwanie, by administracja państwa i gospodarka działała z poszanowaniem interesów ludzi pracy. Taka kontrola i takie działanie nie są propagandowym hasłem, lecz koniecznością. Najbardziej bowiem niebezpieczną formą biurokratyzmu jest lekceważenie człowieka i jego rzeczywistych interesów. Jeśli są one zagrożone, związki zawodowe muszą podnieść głos w ich obronie za pomocą różnych form, do strajku ostrzegawczego włącznie, w ustalonych prawnie ramach”.

To było 24 sierpnia 1980 roku. A co dziś myślimy na ten temat przywódcy różnych związków zawodowych?

„SZTANDAR MŁODYCH”

z 16 października 1980 roku pisze:

„Z listów i telefonów Czytelników wynika, że czują się niedoinformowani na temat proce-

sów zachodzących obecnie w polskim ruchu związkowym. Odnosi się to zarówno do związków branżowych jak i tych organizujących się na bazie terytorialnej. Czytelników interesują cele i zadania, jakie stawiają wobec ruchu zawodowego ludzie z komitetów założycielskich nowych, samorządnych związków, pytają również o zamierzenia działaczy odnowionych związków branżowych”.

W związku z tym „Sztandar Młodych” przeprowadził kilka rozmów z działaczami różnych związków zawodowych, zadając im mniej więcej podobne pytanie. Nie jestem w stanie omówić wszystkich wypowiedzi, zacytuję więc tylko niektóre.

Pyta „SM”: — „Jak zamierzacie ułożyć współpracę z innymi związkami zakładowymi, ruchem młodzieżowym, partią? Czy uważacie, że siła ruchu związkowego jest jego jedność?”

Odpowiada Marian Jurek — przewodniczący Międzyzakładowej Komisji Robotniczej w Szczecinie: — „Problemy współpracy widzimy na płaszczyźnie komisji mieszannej, powołanej przez premiera do czuwania nad realizacją po-

stałów zawartych w porozumieniach między załogami a kierownictwem resortów. Musi jednak obowiązywać w tej współpracy zasada partnerstwa. Zarówno z partią, jak i z innymi organizacjami. Chcemy współpracować praktycznie spełniając wszystkie zasady ludowładztwa, obowiązujące w PRL. Członkami samorządnych związków zawodowych są również członkowie partii. Cele partii i nasze powinny być zbliżone tam gdzie chodzi o interes ludzi pracy.” („SM” 16 października 1980 roku).

Pyta „SM” w tym samym numerze Zenona Kadzińskiego — przewodniczącego ZG ZZ Transportowców i Drogowców: — „Jak pan widzi rolę strajku jako narzędzia w egzekwowaniu od administracji państwowej zadań robotniczych?”

Odpowiedź: — „Strajk jest to ostateczna metoda, która — trzeba o tym pamiętać — obniża nam poziom dochodu narodowego. Jeśli jednak zawodzi wszystkie inne sposoby porozumienia się z władzami trzeba uciekać się do strajku. W przypadku, gdy nie będzie można podstawowych spraw rozwiązać inaczej, to i nasz Związek będzie ogłaszał strajki”.

„Sztandar Młodych” z 18 października 1980 roku. Pytanie: — „Macie skuteczne narzędzie w walce o prawa pracowników — strajk. A jakim narzędziem ma się posługiwać administracja, żeby móc egzekwować ich obowiązki?”

Odpowiada Zbigniew Kudrewicz — przewodniczący NSZZ Pracowników Kolejowych PRL: — „Kodeks pracy, pragmatykę służbową, powierzenie kierowniczych stanowisk odpowiedniemu kadrowi, usprawnienie organizacji — to tylko kilka przykładów instrumentów, jakimi może posługiwać się administracja”.

„SM”: — „Jaki jest wasz udział w opracowywaniu nowej ustawy o ruchu związkowym? Jaki strajk uważacie za nieuzasadniony? Jak zamierzacie w przyszłości takim strajkiem zapobiegać?”

Odpowiada Jarosław Sienkiewicz — przewodniczący Międzyzakładowej Komisji Robotniczej w Jastrzębiu: — „Zależy mi na dobre zrozumieniu: nasz strajk był solidarnościowy. Nie mieliśmy i nie mamy żadnych fachowców do opracowania dokumentów, więc z konieczności ogłaszaliśmy się na Wybrzeże przy opracowywaniu ustawy o nowych związkach zawodowych. Powiedzieliśmy, że ich popieramy i tego się na razie trzymamy”.

Na temat propozycji CRZZ nie będziemy rozmawiać. Choćby to była ustawa ze złota nikt tego nie chce czytać! Jedno jest pewne: odbudowa ruchu związkowego nie jest możliwa w ramach CRZZ...

Strajk to broń ostateczna i będzie — nie wiadomo czy zajdzie taka potrzeba — stosowany tylko wtedy, gdy będą naruszone żywotne interesy klasy robotniczej. W chwili obecnej Międzyzakładowa Komisja Robotnicza ma minimalne możliwości przeciwdziałania strajkom. Zyczyliśmy sobie dostępu do prasy, aby upowszechnić nasze stanowisko, ale nie w tym kierunku nie zostało poczynione. Z radiowęzłami też różnie bywa. Mimo iż mamy rządowe gwarancje swobodnego do nich dostępu, w niektórych zakładach możemy korzystać z radiowęzła dopiero po ocenzurowaniu tekstu przez administrację. Wysyłamy więc ulotki, petycje, telefonujemy, rozmawiamy z delegatami zakładów. Jeśli więc nie mamy pełnych możliwości dotarcia z rzetelną informacją do załóg i wyjaśnienia im problemów to jak można od nas wymagać, abyśmy wzięli na siebie też odpowiedzialność, a są pewne siły, którym zależy na utrzymaniu sytuacji strajkowej. Nie można więc

na nas zwać ogromnej odpowiedzialności bez dania nam do ręki odpowiednich środków”.

„Sztandar Młodych” z 20 października 1980 roku. Pytanie: — „A jaki jest wasz stosunek do strajku?”

Odpowiada Eugeniusz Kubiszyn — przewodniczący ZG ZZ Pracowników Poligrafii: — „Zacytuję § 10 naszego statutu: „Swoje cele i zadania Związek realizuje poprzez partnerskie współdziałanie z organami władzy i administracji. W przypadku naruszenia praw i interesów pracowników oraz uprawnień Związku, jeżeli spór w tym zakresie nie zostanie rozstrzygnięty w drodze rokowań, przysługuje nam prawo sprzeciwu, łącznie z prawem do ogłoszenia strajku”. Oczywiście, odpowiednio wcześniej zapowiedzianego i w przypadku usunięcia jego przyczyn — odwołujemy go”.

W tymże samym numerze „SM” pytanie: — „Jaki jest wasz udział w opracowywaniu nowej ustawy o ruchu związkowym? Jaki strajk uważacie za nieuzasadniony? Czy niedawny strajk ostrzegawczy można za taki uznać? Jak zamierzacie w przyszłości takim strajkiem zapobiegać?”

Odpowiada Lech Wałęsa — przewodniczący Komitetu Porozumiewawczego „Solidarność”: — „Na razie nie mamy na to zbyt wiele czasu. Opracowaliśmy projekt statutu Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych „Solidarność”. Jeżeli on zostanie przez naszych członków przyjęty, to właśnie na nim powinna opierać się ustawa o ruchu związkowym”.

Strajków nie powinno być w ogóle. Musimy nauczyć się rozwiązywania wszystkich problemów przy konferencyjnym stole. Dopiero po wyczerpaniu innych środków działania, możemy podjąć akcję strajkową. Gdy okoliczności na to zezwolą, strajk właściwy należy poprzedzić ostrzegawczym, nie dłuższym jednak niż połowa dnia pracy. Przykładem takiego konsekwentnego działania może być ostatni godzinny strajk ostrzegawczy, który stanowił wyraz protestu przeciwko niepełnemu dotrzymaniu postanowień zawartych w porozumieniu kończącym strajk w sierpniu”.

Ostatnia

„POLITYKA”

(nr 43 z 25 października 1980 roku) przynosi artykuł Jerzego Urbana pt. „Nożyce”. W artykule tym znajduje się także słuszny pogląd:

„Wiarygodność władzy wobec społeczeństwa wymaga, aby ów prawdziwy obraz tego, co nas czeka (oraz projekt przeciwdziałania) zsynchronizowany został z wykonywaniem zobowiązań postawionych i treścią gazetowych wiadomości na ten temat. Za wiele w nich bezrozumnego optymizmu. Skoro nie możemy ani porozumień zaciągać, ani ich wykonania odwołać, ani też wykonać zobowiązań w pełni (np. jeśli idzie o ceny i zaopatrzenie rynku) — jedynym wyjściem są powtórne negocjacje. Powinny one zmierzać do zweryfikowania ekonomicznych punktów porozumień tak, aby dostroić je do rzeczywistej sytuacji gospodarczej. Nie jest to łatwe, ale konieczne”.

Codzienna praktyka politycznego życia coraz bardziej nas przekonuje, że trzeba pilnie i solidnie uczyć się prowadzenia rozmów. Wszelkie nieporozumienia, z jakich by się nie brały powodów, rodzą tylko niepotrzebne napięcia społeczne, zaostrzają — i tak już niestabilną — sytuację polityczną i społeczną kraju.

Sytuacja w Polsce budzi powszechne zainteresowanie na świecie. „Polityka” w numerze wspomnianym wyżej — nr 43 — przynosi całą kolumnę (stronę) różnych opinii wyrażanych za granicą na temat wydarzeń w naszym kraju. Spośród wielu opinii wybieram jedną — sekretarza francuskich klasowych związków zawodowych (CGT), członka Biura Politycznego FPK — Henri Krasuckiego, który stwierdził między innymi:

„Te wydarzenia w całości, a problemy związków zawodowych w szczególności, dają siłą rzeczy do myślenia całemu światu. Jest to refleksja, którą należy zapamiętać. Lecz tym, którzy myślą, że będą mogli szermować argumentami przeciwko socjalizmowi, mówimy: gdzie są te rządy, które zażęgałyby tak poważny kryzys społeczny w sposób tak demokratyczny? Gdzie są ci ministrowie, którzy udają się do fabryk, aby negocjować ze strajkującymi i załatwiać sprawy uznając bez wahania popełnione błędy? Gdzie są te władze, które podejmują się naprawiać wady wraz z ludźmi pracy, i to nie dlatego, aby być gorszymi socjalistami, ale po to, aby być lepszymi?!”

Nawet w trudnych warunkach socjalizm daje pokaz środków, jakimi dysponuje dla znalezienia w sobie samym możliwości pozwalających mu przezwyciężyć trudności i zapewnić własny rozwój demokratyczny wraz z ludźmi pracy i dla ludzi pracy — co stanowi antytezę kapitalizmu”.

W sierpniu ludzie strajkowali pod hasłami: „Socjalizm — tak, wypaczenia — nie”. Dziś pod tymi samymi hasłami dyskutują nad tym, jakie stworzyć gwarancje, aby już więcej nigdy nie doszło do takiego głębokiego kryzysu.

Opracował:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

MIECZYSLAW MICHAŁ SZARGAN

Znajomi umarli chodzą ulicami
Dzień dobry panu Dzień dobry pani

Znajomi umarli pytają o zdrowie
Co w domu Wiśni nie zmroził śnieg w ogrodzie

Znajomi umarli wchodzą do kawiarni
Słucham co dla pana Proszę o pół czarnej

Znajomi umarli chodzą na pogrzeby
Taki jeszcze młody i tak głupio i bez potrzeby

Znajomi umarli słuchają Szopena
Polska w nim była i wierzbą i ziemią

Znajomi umarli wracają do grobu
I choć są żywi Anioł nad nimi

MARIAN JAESCHKE

Co jest na płótnie
Na płótnie jest Piękno
Van Gogh biegnie na pole
Malować niebo i piekło

Co jest na płótnie
Na płótnie jest światło
W nim na talerzu jabłko
Z Ogrodu Biblijnego

Co jest na płótnie
Na płótnie jest stół i nóż na stole
I Kain Abła znowu zabije
Chociaż obok leżą skrzypce

Co jest na płótnie
Na płótnie jest Piękno
Van Gogh upadł na pole
Aż mu w głowie słońce pękło

WARSZAWSKA JESIEŃ POEZJI

Postanowiliśmy odwiedzić Poetę.
Urządnik Administracji Cmentarnej podał nam adres.
Nowy cmentarz tętni życiem.
Koparki kopają groby.
W spłowiatach szarfach szeleściły młodzieńskie myszy.
Przestronnymi betonowymi alejkami kroczyli cmentarni.
Młody poeta Migo z Warszawskiej Jesieni Poezji
niósł chryzantemy.
Ja macoszki.
Zernicki chryzantemy złociście.
Błądziłszy długo między krzyżami, gdyż współczesne cmentarze
przypominają betonowe osiedla. Aż ukazał się nam grób niziutki,
prosty. Prostokąt obsiany młodą trawą. W rozpostartych,
brązowych
ramionach krzyża zapisana tabliczka:

EDWARD STACHURA LAT 41

Bolały mnie nogi więc przysiadłem na walającej się cegle.
Zernicki położył ręce na grobie.
Ja wykopałem w ziemi jamkę i posadziłem macoszki.
Młody poeta Migo położył chryzantemy.
Z powrotem szliśmy w milczeniu. Grób zostawał za nami w całej
jaskrawości. Wracaliśmy na dalszy ciąg Warszawskiej Jesieni
Poezji.

BIAŁA IZBA

Wydarci z ramion
Wchodzą do izby
Białej i pustej
Goście najmniej spodziewani
Ze zdaniem niedokończonym
Na wargach ułożonych w podkówkę
Znajomi z dalekich Mirosławie
I bliskich łilowych brzo
Z przelotnej krwi krewni
Biedni nawet usiąść gdzie nie mają
Tak w tej izbie ludno
I poczęstunku nie może być mowy
Gdyż zabrakło stołu
W ich dłoniach kościotrup domowego ogniska
Dom patrzący oczodolami okien
Jak głodni po barach storbiemy jałowy parzący kapuśniak

PAMIĘĆ LUSTRA

Lustro przenosi delikatniej niż gołębi puch
Żeby nie roztrząsało ziemi na groby.
Bo w lustrze stoja osoby: rodzina święta
Matka i Ojciec Bracia i Siostry.

Nawet kobieta która zamknęła drzwi
Nawet mężczyzna który na własność ma swój krzyż
W lustrze stoja ciępliwi: trzy dzikie róże obok
Pachną jakby przed chwilą zostały ścięte.

Matka w lustrze czesze włosy młode
Chociaż już są siwe i tamie je najlżejsza iza
Dobra pamięć lustra wiąże krawat Ojcu
Dlatego Bracia i Siostry donieśmy lustru szczęśliwie
Byśmy tamci maluchy na podłodze nie uwierzyli w nieubłaganą
naszą śmierć.

Ustaliśmy z siostrą, która po wielu
latach przyjechała w odwiedziny do kraju
i przywiozła trochę pieniędzy, że zamó-
wimy nagrobek dla ojca i ustawimy go
obok mogiły matki, znajdującej się na
jednym z cmentarzy naszego miasta.

Zaprosiłem kilka bliźszych mi osób na
świadeków tej cichej uroczystości, której
towarzyszyły wilgotne od mgły brzozy o
żółknących liściach. Zdaje się, że osoby
były trochę zdziwione, ale żadna nie za-
dawała pytań, aby swoje zdziwienie jakoś
znieczyścić lub uwierzytelnić. Może zresztą
to zdziwienie tylko ja im przypisywałem
i dopatrywałem się go w twarzach, poch-
murnych i skupionych zgodnie z wymo-
gami chwili.

Pod nagrobkiem nie ma doczesnych
szczęśćków naszego ojca. Doszły do nas
dość dokładne relacje o jego żołnierskiej
śmierci w okolicach Ostrołki, ale pocho-
wano go zapewne w jakiejś zbiorowej
mogi, których tyle i od dawna w na-
szym kraju pospiesznie usypywano. Ile-
kroć wracam myślami do miejsca jego
ostatniego spoczynku, tak to sobie
wszystko wyobrażam: leży obok innych
zabitych czy pod nimi w postrzępionym
mundurze oficerskim, na którym ciemnie-
ją skrzepy jego własnej i cudzej krwi;
ziemia najszlachetniej wszystkie między ni-
mi wolne miejsca wypełniła, stała się dla
ich ciał niemal tak żarliwie dokładna jak
rdza; ziemia też ich przykrywa.

Ojca więc dawno nie ma wśród żywych
i dawno, w jakimś mgnieniu chwili, jego
los przybrał ostateczny i skończony kształt.
Tak mi się przynajmniej przez jakiś czas
wydawało. Byliśmy do tego przyzwyczajeni,
żeby nam się tak wydawało. W parę
jednak lat po wojnie, gdy zateknęliśmy
do swojego miejsca w społeczeństwie jako
księgowy w jednym z państwowych przed-
siębiorstw, okazało się, że sprawa jest
bardziej skomplikowana i wszystko mu-
szę zmienić w życiorysie mego ojca. Po-
czynając od jego urodzenia aż po jego
śmierć. Wcale nie chodziło o taką czy
inną interpretację różnych zapamiętanych
uczynków ojca, jego nawyków i usposo-
bienia, co stanowiło źródło wielu rozwa-
żań i deliberacji wśród najbliższych, do-
tkniętych opuszczeniem. Nie chodziło tak-
że o publiczną ocenę życia ojca, gdyż
takich jak on było wielu, nie on mógł
budzić zainteresowanie historyków czy ty-
lko publicystów. Nie, ja po prostu musiałem
go, musiałem ciebie, ojczyste, wyrzec
się i stworzyć ciebie zupełnie innego, z
krzywdą twoją i moją powołając jeszcze
raz — nie bez wielkiego trudu, złożonego
ze strachu, kłamstwa, wykrętów i zaprze-
czeń — na nowo. Musiałem ciebie stworzyć
w kształcie, który był zaprzeczeniem i
oskalowaniem twojego słusznego, jak mi
się i teraz wydaje, życia.

Nie zdobyłbym się na to, gdyby to ci
mogło zaszkodzić. Ale tobie nic nie mogło

zaszkodzić, moje zaś kłamstwo było może
ocaleniem dla pokoiu z kuchnią, który
zajmowaliśmy z żoną — przychodziła ja-
ko panna Halinka do naszego przyzwyczaj-
nie umiowanego mieszkania, nawet nie
przypuszczała, że to była miłość — i syn-
kiem, nigdy nie widzianym przez ciebie
twoim wnuczkem.

Ojczyste, gdy już zaproszone osoby rozeszły
się, wracając do swoich spraw, gdy moja
żona także odjechała tramwajem z wnucz-
kiem, zostaliśmy przed mogiłą matki i na-
grobnym kamieniem z siostrą, z tak lu-
bianą przez ciebie Zosią. (Zawsze ją, a

JAN HUSZCZA

KAMIEŃ nagrobny

nie mnie, wbrew temu, co się między
nami mówiło, wyróżniałem. Przypominam
to sobie dziś jedynie ze wzruszeniem, aby
tylko ożywić sceny z naszego dzieciństwa,
o które tak z matką naszą dbałeś).

Zostaliśmy więc z Zosią i długo milcze-
liśmy, niby to po wielokroć odczytując
złożone, wyrabane w kamieniu słowa:
„... inżynier... kapitan wojsk... kawaler or-
dery... poległ we Wrześniu...”. Ja i Zosia
myśleliśmy jeszcze raz o tobie, ale po
swojemu. We mnie ożyły po prostu peryp-
etie, związane z twoim drugim życiory-
sem.

Ludziom, od których zależałem, potrzeba-
na była twoja i moja nijakość. „Łał mnie
pasem, towarzysze — zapewniałem — wie-
cie, jak to szew, któremu powierza się
najwyższe przybijanie fleków... Skądże,
nikt, u niego nowego obuwia nie zama-
wiał!” „A wypić tatunio lubi?” — pytali
udobruchani, odsłaniając w wyrozumi-
ałym uśmiechu białe dziaśla, nabite tomba-
kowymi koronkami. „Lubił, ale za jakie
pieniądze miał pić!” Chętnie zgadzali się
na to, że lubił, ale nie miał za co. „Ma-
musi nie dawał chyba spokoju?” „Oj, nie
dawał, towarzysze, siedmiore nas zrobił,
wyziliśmy jednak tylko siostrę i ja...”
„Otoż to, w tanim systemie nie mogło
być inaczej!” — niby kiwali głowami ze
współczuciem, byli jednak w gruncie rze-
czy zadowoleni, że wszystko zgadza się

z ulubionymi przez nich schematami. „A
jak umarł?” „Podczas pijatyki, towarzy-
sze! Ktoś go uraczył wódką tak hojnie,
że nie wytrzymało serce sterane pracą.”
I ta informacja spotkała się z żywą apro-
batą. Powiedziano: „No tak, gdyby swój
głód alkoholu mógł regularnie zaspokajać,
to żyłby znacznie dłużej. Byłby może dziś
potrzebny. No tak, na regularne picie nie
miał, biedak, pieniędzy.” „Nie miał!” —
pochwyciłem piękny objaw domyslniej
inteligencji z ulgą i odczuciem, że powoli
jeszcze raz wydobywam się z ciasnego
kręgu podejrzeń, nasyconego dławiącym,
obrzydliwym powietrzem. „Więc możecie
spokojnie pracować dalej.” O nic więcej,
o te właśnie słowa mi chodziło.

Spojrzałem na Zosię, skrzętnie wyry-
wającą chwasty, gdyż znowu mogły za-
głuszyć bratki, zdobiące mogiłę obok na-
grobka. I w jej włosach, choć była młodsza
ode mnie, jaśniały pasma siwizny.
„Moja ty kochana!” — pomyślałem o Zosi.
Ale, prawdę mówiąc, to i ona, na jakieś
dwa albo trzy lata przed naszą tutaj obec-
nością, sprawiała mi kłopot swoim istnie-
niem. Gdy bowiem znowu uważnie za-
często przeglądać moje ankiety personal-
ne, wynikały pytania dotyczące własnego
Zosi. „Mówicie, że była wywieziona na
roboty do Norwegii?” „Tak, miała wtedy
siedemnaście lat, łatwo wpadła w sidła
łapanek, gdyż była trochę upośledzona na
umyśle” — wysilałem się, by skompromi-
tować siostrę, głęboko wierząc, że także
nigdy o tym się nie dowie. Jednak umia-
ła dostać się aż do Angli i wyjść tam za
mąż?” „Anglicy to, jak wiadomo, cholerni
dziwacy, mogą lubić umysłowo upośle-
dzone dziewczęta. A ona miała, o ile pa-
miętam, cyce jak banie!” „Fajnie! Czemu
jednak nie wróciła? Tu cyce jak banie
też przydałyby się!” „Kochani — starałem
się indagacji nadać ton rozmowy, dopro-
wadzić ją do towarzyskiej pogawędki —
czyż o dziewczętach można poważnie mó-
wić?” „Ale do nas doszły słuchy, że po-
daje się tam za córkę pułkownika i że
pochodzi z ziemlańskiej rodziny!” To mnie
zaskoczyło: siostruna także więc po swo-
jemu przeznaczała ojcowi życiorys! Opa-
nowałem się, skupiłem się na nowo, wy-
dobyłem z siebie resztkę możliwości po-
zorna niefraśobliwość. „Wiedzie przecież
lepiej ode mnie, kochani, że na Zachodzie
wszyscy emigranci dorabiają sobie zie-
mlański lub wysokooficerski rodowód, aby
jakoś skuteczniej wejść między tubyl-
ców...” I znowu więc usłyszałem, Zosi
pochyliła nad bratkami, owe pełne łaski
słowa: „No to możecie spokojnie praco-
wać, a jeśli wam będzie się działo jakaś
krzywdą, to walcie do nas jak w dym!”

Zaproszone osoby rozeszły się, wracając
do swoich spraw i rozmów, w których,
być może, przez jakiś czas utrzymałem się
i zdziwienie, którego nie znieczyściłem
i nie uwierzytelniłem, dlaczego to ni stąd
ni zowąd doszło do ustawienia szarego
kamienia z nekrologowymi informacjami
o ojcu, choć aż do tego czasu mieli o nim
zupełnie inne wiadomości. A my z Zosią
jeszcze tu byliśmy, onajdywaliśmy naszą
wspólną, ojczyste, przeszłość.

Odtąd bądź dla nas, ojczyste, pod tym ka-
mieniem wśród brzozy o żółknących li-
ściach!

RECENZJE

rycki bliższy jest przecież ima-
zistom, choćby Jesieninowi, Cze-
chowiczowi czy Hollendrowi
niż skamandrytom. I fakt ten
sprawia, że czytelnik nie musi
poddawać się konwencji, lecz
może niejako bezpośrednio chło-
nać żywioł liryczny tych wierszy,
łatwiej poddaje się nastrojowi.
W wierszach tych najdziej-
duje odbicie tragizmu narodowej

rody manifestuje się niezmienn-
nie w tych wierszach. Przyroda
dojmująco porusza wyobraźnię
Igora Sikirskiego, potrafi on
z czułością nieomal prezento-
wać nam nie tylko uroki Wisły,
lecz także małych rzeczek na-
szego regionu. Upodobał on sc-
bie także krajobraz mazurski,
ukazuje go także poprzez wal-
kę Mazurów z najazdem krzy-

nie są to moralitety ponure, lecz
pogodne, choć niekiedy bardzo
ostre. I ten rodzaj dydaktyki
zasługuje na wysokie uznanie.
Zresztą świadczy o tym naj-
lepiej fakt, że książki Igora Si-
kirskiego dla dzieci rozeszły się
bardzo szybko, mimo znacz-
nych nakładów. Być może spr-
awia to fakt, że właśnie w tych
wierszach autor w pełni po-
puszcza wodze fantazji, że tu
najpełniej wykorzystuje swe
skłonności do groteski. Można
spodziewać się, że dzieci wy-
chowane na wierszach Sikir-
skiego będą wdzięcznymi odbior-
cami poezji, gdyż potrafi on
znakomicie rozwijać wyobra-
źnię najmłodszych czytelników.

W sumie trzeba podkreślić to,
że zarówno w twórczości lirycz-
nej, satyrycznej i wierszach dla
dzieci Igor Sikirski zachowuje
niejako jedną, autentyczną.
Manifestuje się to w drażnieniu
na różne sposoby podobnej pro-
blematyki przedstawianej na
różne sposoby, w zależności od
podjęcia do tematu. We wszyst-
kich omawianych utworach do-
minującą cechą jest patriotyzm
ujawniający się poprzez huma-
nizm, umiowanie przyrody i
ojczystego krajobrazu. Dlatego
też twórczość ta wydaje się tak
nam potrzebna i bliska.

JÓZEF HENRYK
WIŚNIEWSKI

Igor Sikirski, Trzy struny.
Łódź 1980, Wydawnictwo Łódzkie.

TRZY STRUNY

egzystencji, walka o życie z naj-
okrutniejszą najeźdźcą. Nawet
wiersze o śmierci w walce z
wrogiem są u Sikirskiego tak
dynamiczne, że stanowią wez-
wanie do walki. Zresztą „noty-
wy wojenne, pogłosy najcięższych
doświadczeń narodów uwikła-
nych w wojnę znajdujemy i w
późniejszych wierszach nasze-
go autora. Warto chyba zwrócić
uwagę także na fakt, iż twór-
czość Igora Sikirskiego jest
niejako jego lirycznym pamięt-
nikiem. Znajdujemy tu bowiem
wiersze o Łodzi, mieście, w któ-
rym autor mieszka od czasu za-
kończenia wojny. Z kolei od-
notowuje on wrażenia ze swych
rozlicnych podróży, przede
wszystkim na Wschód. Jego
przyjaźnie i penetracje kultu-
rowe znajdują poetyckie od-
zwierciedlenie. Nie są to by-
najmniej tylko poetyckie im-
presje, lecz wiersze pogłębione
o odwołanie się do historii czy
do mitologii narodów, o któ-
rych autor pisze. Dotyczy to
zresztą nie tylko narodów
Związku Radzieckiego, lecz tak-
że Bułgarów, Greków czy Wło-
chów.

zackim i walkę o polskość tej
ziemi, jaką prowadzili bliżsi
nam w czasie, jak choćby Mi-
chał Kajka.

W satyrze Igor Sikirski pre-
zentuje się nam nie tylko jako
prześmiewca wszelakich przy-
war, lecz także jako humorysta
szczególnie wrażliwy na grę słów
i dźwięków. Prezentuje on nam
teksty od aforystycznej zwięzo-
ści po balladę. Nawiazuje też
do jakże często pomijanych
współczesnie — bajek.

Podobne możliwości wyzwała
autor w wierszach dla dzieci.
Subtelne liryki dziecięce przede
wszystkim kierują uczucia naj-
młodszych czytelników w stro-
nę przyrody. Przy czym autor
z powodzeniem stosuje tu za-
równo zabiegi animacyjne, jak
i antropomorfizację. Lecz cechą
dominującą twórczości Sikir-
skiego dla dzieci jest uśmiech,
humor i to także w wierszach
o charakterze lirycznym, nie
tylko w dziecięcej satyrze. Na-
tomiasz w wierszach satyrycz-
nych dla dzieci autor nasz po-
trafił atakować złe cechy w
sposób dosadny, kąśliwy. Przy-
czym ważne jest chyba to, że

Wrażliwość na piękno przy-

Już po raz drugi, w swojej niedługiej przecież karierze, **Jerzy Hutek** zaprezentował się w podwójnej roli: adaptatora i reżysera. Wolno więc chyba sądzić, że mamy lub będziemy mieć do czynienia ze specjalnym rodzajem specjalizacji twórczej. Inicjatywie tej, jeśli wyda owoce takie jak dotychczas, należy tylko przyklasnąć.

Jeżeli reżyser teatralny sięga po utwór, który z założenia nie jest przeznaczony dla sceny, to powody tego kroku mogą być dwojakie: albo intere-

Brechta. Pozbawiony partii narracyjnych, jeśli nie liczyć krótkich komentarzy o charakterze informacyjnym, otwierających bądź kończących kolejne rozmowy, oparty na dialogu dwóch antagonistów, mógł — ze względu na swą formę — kusić pozorną łatwością adaptacyjną. Ale tylko pozorną, bo to, co w „Rozmowach uchodźców” najistotniejsze, spór filozoficzny i polityczny, dialektyka dwóch skrajnych postaw, olbrzymi bagaż myślowy, a zarazem brak — z teatralnego punktu

TEATR

dobór cyfr — upływ czasu nie w minutach lecz w latach. Tekstem — nazwijmy go — pobocznym, zawiadniał dworcowy megafon. Głos, w charakterystyczny sposób zniekształcony, komentował akcję, u-dzielał wyjaśnień. I tu również błąkał się gdzieś Brecht — teoretyk.

Całość odegrano w specjalnie na tę okazję przebudowanej Małej Sali Teatru im. Jaracza. Wyrzucono scenę, ustawiając w jej miejsce — obok wspomnianych już rekwizytów — nakryte białymi obrusami stoły, a przy nich krzesła, na których zasiadała część publiczności. Pozostali obserwowali akcję z niewielkiego podestu. Byliśmy więc jakby bliżej aktorów, w rozumieniu raczej emocjonalnym niż fizycznym. Taka organizacja przestrzeni doskonale zresztą współgrała z samym spektaklem.

Tyle **Jerzy Hutek**. Reszta należała już do „dwóch dusz” Brechta, z których jedną był **Andrzej Głogowski**, drugą — **Jan Hencz**. Była jeszcze trzecia dusza, specjalna, w postaci obecnego na premierze **Romana Szydłowskiego**. Cała ta „reszta” to niemało, zważywszy, że obaj aktorzy wypełnili swą rolę prawie półtoragodzinnym spektaklem. Wypełnili nie przez prosty fakt obecności na scenie i powtarzanie wyuczonego tekstu. Tutaj udało się to, co dobra adaptacja osiągnąć powinna: tekst zagrał w teatrze. Obaj: **Ziffel** — **Głogowski** i **Kalle** — **Hencz** poprowadzili dialog na świetnym poziomie intelektualnym i aktorskim. Zachęcam, by obejrzeć „Rozmowy uchodźców” **Bertholda Brechta** w Teatrze im. Jaracza. Naprawdę warto.

ANDRZEJ S. WARZECHA

Teatr im. Stefana Jaracza, Mała Scena. **Berthold Brecht: Rozmowy uchodźców**. Przekład: **Roman Szydłowski**. Adaptacja i reżyseria: **Jerzy Hutek**. Scenografia: **Marian Panek**. Prapremiera polska 11 października 1980 roku.

O „ROZMOWACH UCHODźCÓW”

suje go określony temat i w utworach scenicznych nie znajduje jego odbicia lub jest ono niepełne, albo ulega fascynacji samym tekstem. Najczęściej obie te przyczyny idą w parze, bo nie zmienia faktu, że zawsze jest to zabieg ryzykowny, o czym niejednokrotnie mogli się już przekonać zarówno adaptatorzy, jak i widzowie. Tym bardziej więc cieszy fakt, że proces uteatralniania literatury przebiega — w tym określonym przypadku — w sposób budzący zainteresowanie i żywą reakcję publiczności.

Hutek preferuje w swoim teatrze teatr polityczny. Rozpoczął od adaptacji cyklu reportaży **Ryszarda Kapuścińskiego „Cesarz”**, tym razem zaś sięgnął po Brechta, dając polską prapremierę „Rozmów uchodźców”. Tłumaczony przez **Romana Szydłowskiego** tekst wydał starannie i w niewielkim nakładzie Państwowy Instytut Wydawniczy w 1969 r. Nie ukrywam, że miałem wątpliwości co do powodzenia całego przedsięwzięcia. Rodziło je głównie przeświadczenie, które winno przemawiać nie przeciw, a właśnie za przydatnością sceniczną utworu

widzenia — dynamiki, wszystko to, mogło dać w efekcie wytwór nużący i chybiony. Stało się przecież inaczej.

Hutek rozpoczął swą pracę z obłokiem w ręku. Skręcił tekst znacznie, nie oszczędzając nawet fragmentów, w których do głosu dochodził znany humor Brechta. Był to zabieg konieczny. A ponieważ przeprowadzony został z dużą intuicją i wyczuciem, powstała całość spójna i logiczna, a jednocześnie, uwzględniająca — w swej rozpiętości czasowej — percepcyjne możliwości widza. Obróbka tekstu zapewniła jeszcze jedno: wyważyła odpowiednie proporcje między poszczególnymi wypowiedziami i kolejnymi rozmowami.

Następnym posunięciem było stworzenie tła dla rozmów **Ziffela** i **Kallego**. Ożywiono w tym celu bufet dworcowy restauracji, ustawiając za kontuarem **Wandę Grzechkowską**. **Hutek** realizuje przy tej okazji pomysły niemal wprost z teatru epickiego: **Ziffel** i **Kalle** wspominają etapy swojej uchodźczej wędrówki po Europie, a barmanka odśpiewuje kolejno tablice, na których widnieją nazwy miejscowości i godziny — wskazująca przez specyficzny

ARCHITEKTURA
W SZTUCE
WACŁAWA KONDKA

BWA na przełomie września i października przypomniało łodzianom twórczość **Wacława Kondka**. W Galerii Bałuckiej na Starym Rynku eksponowano rysunek, grafikę i malarstwo tego artysty.

Wacław Kondek był twórcą, który silnie związał swoją sztukę z Łodzią. Architektura miasta, wygląd starych dzielnic i domostw, ich niepowtarzalny klimat, były tematami dominującymi w jego jakże wszechstronnej twórczości. Pasjonował się **Wacław Kondka** wszystkie rodzaje plastyki oraz praca literacka i publicystyczna. Miłośnikom książki znany jest **Kondek** jako autor czterech albumów poświęconych architekturze Łodzi i jej okolic.

Wystawa, o której piszę, pokazywała trzy różne sposoby artystycznego prezentowania architektury. Realistyczny (cykl rysunków „Łódzkie pałace”, „Łódzkie fabryki” i część zgromadzonych obrazów, np.: „Podwórko na Ciesielskiej”, „Przedmieście”, „Dom na Bałutach”) pogłębiony o wprowadzenie intensywnego nastrój emocjonalnego, refleksyjny poetyckiej wypływającej z obserwacji i przeżycia pejzażu, mitologizujący oraz symboliczno-metaforyczny. Dwa ostatnie z wymienionych są dla **Kondki** szczególnie właściwe.

Cykl rysunków zatytułowany „Ballady” nasycony jest baśniowością, nieodczuwalnością, w której przedmiot żyje innym, bogatym zjawiskowym życiem pełnym wyobrażeń odbiegających od rzeczywistych wyobrażeń dostępnych bezpośredniej obserwacji. Stwory bajeczne, mityczne demony, jak z ludowych opowieści o strzygach, diabłach i duchach, zamieszkują w ludzkich domostwach tajemniczych przez to i ukrywających pod zewnętrzną powierzchnią utajone lęki egzystencjonalne człowieka. Poetyka tych prac jest jakby ilustracją dawnych ludowych wierzeń i mitów o domowych duchach dobrych lub złych, patronujących domostwu, wpływających dobrze lub źle na losy zamieszkujących w nich ludzi.

Według ludowych wierzeń stwory takie obecne są w każdym domu, zaś „złe” upodobało sobie rozpadające się ze starości budynki, opuszczone przez mieszkańców.

Miejsca opuszczone, kruszące mury domów, proces ich rozpadu fascynowały **Kondka**. Świadczą o tym litografie z cyklu „Opuszczone

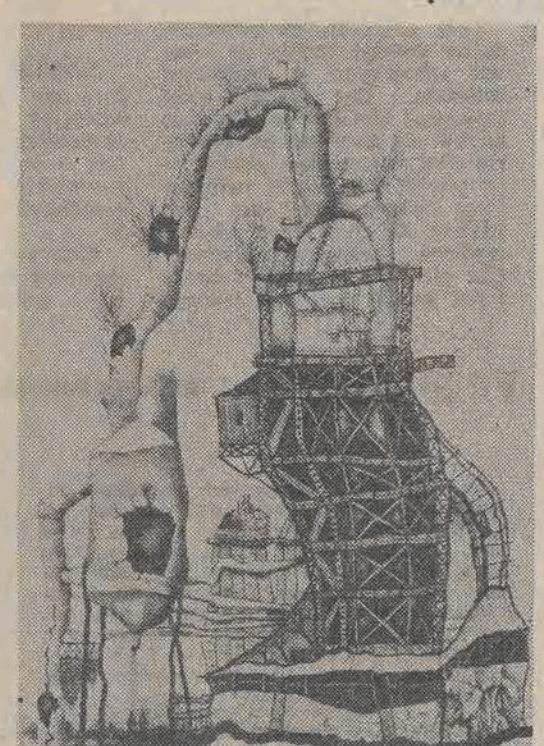
PLASTYKA

domy”. Architektura stała się tu powodem głębokich dociekań o okresie egzystencji. Forma architektoniczna w tych grafikach została rozbita i przetworzona. Tylko pewne jej elementy pozwalają na jej identyfikację: ściana, okno, wejście, dach. Służą to swoistej antropomorfizacji architektury.

Dom ukazany jest jako struktura żywa, organiczna. Jego elewacje przetrząsają się w biologiczną, żywą, ale rakowatą tkankę. Wejście jest ciemne, mroczne. Wszystko nosi piętno nieodwracalnej entropii. To, co powinno być dachem, jest warstwą ziemi, którą porasta trawa. Dom staje się więc symbolem życia i śmierci, jego drzwi i okna symbolami śmiertelnego zejścia.

Architektura w plastycznej twórczości **Wacława Kondki** jest tematem, na kanwie którego artysta zdołał przekazać refleksję dotyczącą tożsamości ludzkich losów i miejsc ludzkiej egzystencji. Właśnie to uczyniło ze sztuki artysty zjawisko oryginalne, niepowtarzalne w formie i metaforyce, zjednało jej wielu odbiorców.

MARIA KĘPIŃSKA



Wacław Kondek. Ballada o hucie „Florian”, litografia, 1971.



Teatr Nowy wystąpił w Małej Sali z premierą sztuki **J. Janeczarskiego „Umrzeć ze śmiechu”**. Na zdjęciu: **Janina Borońska** (u góry) i **Barbara Dziekan**. Foto: **A. Brustman**

FILM

Obok „Czasu Apokalipsy” i „Hair”, trzeci w bieżącym repertuarze amerykański film, podejmujący temat wojny wietnamskiej, to „Powrót do domu” **Hala Ashby’ego**. Pierwszy prowadzi nas w dżunglę Wietnamu, pozostałe nie przekraczają terenu Stanów Zjednoczonych. Wszystkie, choć realizowane w odmiennych konwencjach, sens mają ten sam. Ukazują absurd i okrucieństwo prowadzonej wojny, a uwagę koncentrują na psychicznych i moralnych jej konsekwencjach.

Wielkie widowisko **F. Coppoli** i kameralny film **H. Ashby’ego** ukazują precyzyjnie zorganizowaną zbiorową destrukcję moralną tych, których do Wietnamu posłano, a dzieje indywidualnych bohaterów służą analizie spustoszenia psychicznego będącego skutkiem doświadczeń jednostkowych. Oba filmy przynoczą przed wszystkim portrety „porażonych wojną”. W „Czasie Apokalipsy” byli oni jedynymi bohaterami filmu, w „Powrót do domu” dokonano ich konfrontacji z tymi, w kraju, dla których wojna ta była tylko wyobrażeniem i której prawdziwy sens mogli odczuć jedynie wówczas, gdy tragedie rodzinne bądź przypadkowy zbieg okoliczności uzmysławiał jej koszmarny i absurd.

Film **Ashby’ego** mówi zatem o śladach wietnamskiej wojny, tych wyrażonych liczbami zabitych i kalek, i tych, których podobnymi liczbami określić nie sposób.

Wszystkie trzy wspomniane tu filmy,

a także wiele innych, już u nas prezentowanych (np. „Taksówkarz”), trzeba traktować jako wyraz szlachetnych intencji ich twórców, dokonujących obrachunku z najhaniebniejszą kartą w dziejach narodu amerykańskiego. Tak też trzeba przyjmować ich pacyfistyczny ton. To założenie czynię nie tylko na użytek własny. W dyskusjach o „Czasie Apokalipsy”, „Taksówkarzu”, „Hair”, a obecnie także o „Powrocie do domu” pojawia się bowiem pewien, zrozumiały zresztą, ton nieufności. Nasza sztuka, wracając do tematu wojny, niezwykle rzadko ujmowa-

W KRĘGU
OBRACHUNKOWEGO
TEMATU

wała go w konwencji innej, niż ta, którą określa wymiar tragizmu. Przypomnijmy tu jedynie jako dowód nieporozumienia narosłe wokół „Eroki” i „Zezowatego szczęścia” **A. Munka**.

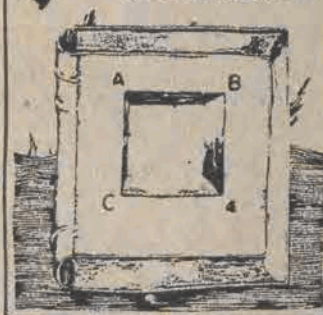
Każdy natomiast z przypominanych tu amerykańskich filmów nacechowany jest właściwościami gatunków, które w naszym, polskim odczuciu nie bardzo przystają do rangi tematu. Mieliśmy do czynienia z wielkim, efektownym superwidowskim filmowym w „Czasie Apoka-

lipsy”, z wypełnionym okrucieństwem i sensacją „Taksówkarzem”, z cudownym, pełnym lirycznego i rubaszego humoru filmem „Hair”, i wreszcie z melodramatem, jakim wydaje się być „Powrót do domu”. Te propozycje burzą nieco nasze wyobrażenia, stąd zdarzają się w ich odbiorze pewne opory, ale tylko pewne. gdyż kino amerykańskie nie pierwszy raz mówi o sprawach bardzo ważnych poprzez gatunki, które z nawyku zwykliśmy czasem traktować jako popularne, wężąc w tym szczególny ich koniunkturalizm. Jeśli nawet bywa tak czasami, jedno jest pewne — filmy te, trafiając do tzw. szerokiej publiczności, mają swą szansę szerszego oddziaływania.

Uwagi te w znacznej mierze odnoszą się do filmu **Ashby’ego**, którego melodramatyczna struktura rzadziej może bardziej wyrafinowanych widzów. Ale znów jedynie dla przykładu przypomnijmy słynny przed laty film **Kolotozowa „Lecą żurawie”**, by uzmysłowić sobie, jak cienkie są granice pomiędzy tym, co dramatyczne a melodramatyczne i jak ważne bywa zarówno nastawienie odbiorcy jak i dominująca a rozpoznawalna intencja autorska.

Tak więc i w „Powrocie do domu”, przeżywając bardziej lub mniej emocjonalnie powikłania uczuć trójki bohaterów, których losy napiętnowane zostały czasem wietnamskiej wojny, poddając się ekspresji aktorskiej **Jana Fonda** i **Johna Voighta** (Oscary za rolę w tym filmie), przyjmujemy „Powrót do domu” jako kolejną próbę obrachunków i ostrzeżenia.

EWA NURCZYŃSKA

Ex-LiBRis
ODGŁOSÓW

Roman Samsel, dziennikarz, od lat korespondent „Trybuny Ludu” w Ameryce Południowej, śledził wydarzenia na miejscu, z perspektywy ludzi stamtąd. Jego książka „Dotrzeć do bunkra Somozy” stanowi rzetelną relację z Nikaragui. Autor poza rejestracją bieżących wydarzeń daje historyczny przegląd wszystkich partii i ugrupowań politycznych Nikaragui. Cały rozdział poświęcony jest rodzinie Somozy: droga Somozy i do władzy i władzy. Druga część książki poświęcona jest programowi odbudowy kraju. **Samsel** rozmawia z członkami rządu rewolucyjnego, pokazuje dzia-

DOTRZEĆ
DO BUNKRA
SOMOZY

Tragiczna dwuletnia wojna domowa w Nikaragui wstrząsnęła całym światem. Za pomocą prasy, radia i telewizji wszyscy siedzieli w paleniskach w tym dalekim dla nas i egzotycznym kraju. Z przerażeniem obserwowaliśmy scenę morderstwa dokonanego na amerykańskim dziennikarzu, **Billu Stewardzie**. Z uwagą i sympatią obserwujemy odbudowę i przemiany dokonujące się od momentu zwycięstwa rewolucji. Wszystkie wiadomości, pomimo że oberwane i w miarę systematyczne, z konieczności niepełne i wyrywkowe, nie dawały w sumie pełnej, białej informacji na ten temat.

Janina podjęła już w pierwszych dniach po zwycięstwie na rzecz poprawy warunków życia ludności, program pełnego zatrudnienia, powszechnego szkolnictwa. We wszystkich relacjach stara się być obiektywną i rzeczową. Żeby nie dać się ponieść emocjom nie przytacza żadnych jednostkowych przykładów działania **Gwardii Narodowej**. Ogranicza się jedynie do sprawdzonych już faktów. Książka bardzo cenna i ważna pozwala uporządkować i pogłębić zdobytą już wiedzę, a jednocześnie lepiej zrozumieć procesy odbudowy i zmian, jakie dokonują się w Nikaragui. **Roman Samsel, „Dotrzeć do bunkra Somozy”,** Kłw, W-wa 1980, str. 244, cena zł 35.—

JEZIORO KSIĘŻYCOWE

Endora Welty, pisarka amerykańska, studiowała na Uniwersytecie Wisconsin, a następnie na Uniwersytecie Columbia. Od 1936 roku zaczęła publikować opowiadania w pismach literackich. Pierwszy zbiór opowiadań „Zasłona zieleni” przyniósł jej wysokie uznanie krytyki. Akcja większości jej utworów rozgrywa się w rodzinnych Missisipi, a ich bohaterowie to często postacie dziwaczne, ukazane w karykaturalnym przekształceniu, zawsze jednak mocno osadzone w realia. **Poludnia, Twórczość Welty** obejmuje kilka zbiorów opowiadań, powieść fantastyczną „Złobnik panem młodym” oraz dwie powieści „Ślub w krainie Delty” i „Wielkie serce”. **Endora Welty** jest laureatką nagrody **O’Henry’ego** i Amerykańskiej Akademii Literatury.

Dwa opowiadania zawarte w tomiku „Jezioro Księżycowe” przywołują świat młodościowych wspomnień, zapachy i smak dzieciństwa, upiekzone odległości minionego czasu. Akcja obu opowiadań, powiązanych osobami bohaterów, toczy się w małym poeciowym miasteczku. W „Koncercie czerwcowym” splecione losy mieszkańców Morgana wiążą się na nowo po latach w mrocznych, tajemniczych wydarzeniach w opuszczonym domu **Fraza** **Beethovena**, powracającą uparcie we wspomnienia jest symbolem zmarnowanych możliwości, niespełnionych marzeń. Jest w tym utworze coś ze smutnej muzyki niosącej echo spraw odległych, zwiędniętych nadziei — a może również sama nadzieja.

W „Jeziorze Księżycowym”, w scenarii poetyckich obrazów przyrody toczy się opowieść o pięknym wycieczniku **Locha Morrisona**

(turatował tonącą dziewczynkę), opowieść pełna humoru, zwłaszcza w kreśleniu postaci. **Endora Welty „Jezioro Księżycowe”,** tłumaczka: **Mira Michałowska**, Kłw, W-wa 1980, str. 211, cena zł 12.—

WIERZSE I DRAMATY

W ostatnich latach ukazało się kilka powieści **Romana Bratnego**. O wszystkich pisaliśmy na tych łamach. Natomiast Wydawnictwo Literackie wydając tom „Wiersze i dramaty”, przypomniało nam, że **Roman Bratny** to także poeta i dramaturg. W tomie umieszczono wiersze powstałe w latach 1944–1952, już wcześniej drukowane oraz wiersze nie publikowane z lat 60. Wiersze, na co wskazuje już tytuł: „Na grobie kolegi z AK”, „Rozstanie z towarzyszem **Borowskim**”, określają już czas, w którym powstały. Poeta pilnie obserwujący wydarzenia dziejące się w kraju i blisko związany z tragedią wojenną narodu, notuje ją w na goręco swoje wrażenia związane z tymi wydarzeniami. W wierszach późniejszych temat ten także występuje, ale są to już tylko chwilowe przypomnienia, krótkie obrazy zanotowane na zawsze we wrażliwej pamięci.

W tomie umieszczono także cztery dramaty: „Trzecia strona”, „Przesłuchanie **Pana Boga**”, „Urodziny”, „Wyroki”. We wszystkich, autor na kanwie fabularnej poddaje czytelnikowi pod ocenę określone postawy moralne. Stara się określić prawo człowieka do wolności osobistej do wyboru swojej własnej drogi życiowej. W dramacie „Trzecia strona” przedstawia młodą kobietę, **Olgę Ukrainkę**, żonę **Polaka**, nauczycielkę. Tereny, na których mieszkała, ogarnięte są walkami. **Bandy** ukraińskie niszczą polskie wieś, mordują kobiety i dzieci. **Olgę** pragnie dobra własnego narodu, czuje się odpowiedzialna trochę za te wydarzenia (przed wojną starała się swoją działalnością rozbudzić świadomość i dumę narodową **Ukrainców**), potępia je, ale jest **Ukrainką** i nie może wyprowadzić się z własnego narodu, jednocześnie kocha męża — **Polaka**, który z nimi walczy. Nie może wybrać, kto jest ważniejszy, naród czy ona. W rezultacie zdradza wszystkich. **Roman Bratny, „Wiersze i dramaty”,** Wyd. Literackie, Kraków 1980, str. 310, cena zł 65.—

Aż 1.600 osób uważa, że aktualnie Sejm PRL nie ma większych smartwien i natychmiast powinien się zająć przedyskutowaniem problemu... produkcji i sprzedaży figurek żołnierzyków z plastiku. Jak demokracja to demokracja. Przez lata całe nikomu nie wpadło do głowy, aby zbierać na ulicach i przed Domami Towarowymi „Centrum” w Warszawie naprawy i istotnych. Obecnie powstał Komitet, który domaga się prawnego zakazu produkcji „zabawek militarnych”.

Zaraz po wojnie jako dziesięcioletni chłopak wykonywałem przy pomocy gipsowej formy figurki żołnierzyków i to — o zgrozo! — w piketkach, bo innych wzorów nie miałem. Mimo to nie zostałem podlegaczem wojennym.

Całe pokolenie chłopców na całym świecie bawiły się i bawią zabawkami z wojennego arsenału. Czy twórcy owej śmiesznej idei-fixe uważają, że gdyby nie bawiono się żołnierzykami mielibyśmy nieustający pokój? Czy wśród twórców owej śmiesznej idei-fixe nie znalazł się choć jeden zdrowo myślący pedagog-męczyzna? Czy nie było w tym doborowym gronie choć jednego

psychologa, który by wiedział dlaczego chłopcy od wieków bawią się w wojsko?

Popuśmy wodze zwirowanej fantazji i załóżmy, że Sejm

na wodę — czy też zabronione będą, sprzedawane dziś w sklepach figurki Indian i kowbojów oraz indiańskie pióropusze i papierowe czałki ułanów? Czy członkowie komitetu

Broni i Barwy, Ligę Obrony Kraju, „Poligon” w Telewizji i „Żołnierza Polskiego” w kioskach...

Powie ktoś, że upadłem na głowę.

Ale przecież nie ja zacząłem tę niepoważną zabawę. Wojsko i wojna nie zostały wymyślone przez producentów zabawek i prawne zakazy skierowane przeciwko ołowianym żołnierzom niczego tu nie zmienia. Nie rozumiem dlaczego grono dorosłych ludzi wpadło na taki infantylny pomysł.

W kioskach „Ruchu” można kupić komplety pocztówek przedstawiających Wojsko Polskie w różnych epokach historycznych. Może i te pocztówki należy wycofać ze sprzedaży? Może wycofać wszelkie militaria z muzeów i szkolnych izb pamięci narodowej?

Oczywiście kpię. Bo tylko kpią można zareagować na niewczesny pomysł „prawnego zakazu produkcji oraz rozpowszechniania artykułów będących imitacjami bądź miniaturowymi uzbrojenia wojskowego”.

WIDOK

KTO SIĘ BOI PLASTYKOWYCH ŻOŁNIERZYKÓW?

nie będzie miał w najbliższym czasie nic ważnego do roboty i wyda zakaz produkcji i sprzedaży „zabawek militarnych”. Czy w tej sytuacji posiadanie ich też będzie trefne?

Jakiej karze podlegać będzie mój syn, który ma komplet żołnierzy Armii Czerwonej (produkcji brytyjskiej — tak, tak — firmy „Airfix”) oraz komplet żołnierzy Armii WP (produkcji krajowej).

Ciekawe też czy ów zakaz dotyczyć będzie tylko plastikowych żołnierzy i pistoletów

zakreślili jakieś ramy swojej nieokiełzanej fantazji?

Czy zakaz obejmować ma również serię wydawniczą MON „Typy broni i uzbrojenia” — serię przeznaczoną przecież dla młodzieży. Aktualnie ukazało się już około siedemdziesięciu zeszytów tej serii w nakładach rzędu 30 tys. egzemplarzy — co daje łącznie ponad dwa miliony egzemplarzy. Co z tym zrobić skoro młodzież te zeszyty kupuje i posiada. Odebrać? Spalić?

Można zresztą pójść dalej. Zlikwidować Stowarzyszenia

Dla telewizyjnego, a i dla telewizyjnych recenzentów był to bardzo dobry tydzień. Z tej okazji nie popadam w jakiś szczególny optymizm, bo niby dlaczego. Telewizja, jak dotąd, zbyt mało nas nie rozpieszczała. A że pojawiali się, od czasu do czasu, programy rzeczywiście znakomite, było to zasługą tylko świadomego działania, co szczególnie zbiegu okoliczności. Może i ostatni tydzień w TvP jest efektem działań ślepego losu? Wiele na to wskazuje.

No bo czy telewizji zawdzięczamy piłkarski supermeczek Widzewa z Juventusem? Wprawdzie redakcja sportowa czynnie ów sukces dyskutowała trzykrotnie mecz powtarzając, jednak chwalić należy piłkarzy „prowincjonalnej drużyny z peryferyjnej dzielnicy Łodzi”, „drużyny bez gwiazd” — jak się w TvP mawiało. Zatem tę transmisję trzeba uznać za ziarno, co to ślepej kurze się trafia. Kara ta jednak nie jest całkiem niewidoma, oddajmy jej sprawiedliwość. Redakcja sportowa przedstawiła i program publicystyczny pod tytułem „Kto za to płaci?” (25 X), który jednakowoż nie w pełni potrzebny społecznie satysfakcjonował. Jakim laik choć kłóć uważam, że mafijne praktyki finansowe w sporcie nie zostały wynalezione ani w Mielecu, ani w Debicy. Ich źródła trzeba szukać w wielkich klubach. Tu jednak odwagi nie starcza. Pewnie, że łatwiej zgrać ekspedientkę, nawet wpaść się do książki załóż, trudniej krytykować, no na przykład, dyrektora departamentu. Wiem to także jako recenzent. Tym niemniej nie należy udawać, że ów dyrektor departamentu (na przykład) nie istnieje.

Wiadomością dnia, wysuwającą się na czoło wszelkich informacji całego tygodnia, była rejestracja NSZZ „Solidarność”. Dziennik tv posiedzenie Sądu Wojewódzkiego w Warszawie transmitował, a zatem przekazał fragment obecnej rzeczywistości którą przyniósł los. Świadomym działaniem redaktorów Dziennika były natomiast dwie audycje: pierwsza („Prawdę mówiąc”, 21 X) rzeczywiście interesująca, bo stanowiła jakby część rozmowy,

SAME POCHWAŁY I DWIE PRZYGANY

ktoła toczy się nieprzerwanie od wielu tygodni, a która dotyczy najważniejszych spraw naszego kraju (audycje pod red. Jacka Snopkiewicza prowadził Andrzej Kantowicz) — i druga („Kontrowersje”, 23 X), poświęcona dyskusji na temat sił antysocjalistycznych w Polsce. Jak chwalić audycje pierwszą, tak drugą muszę uznać za nieporozumienie. Po pierwsze dlatego, że jeśli podejmuje się (Bogdan Maciejewski — prowadzenie, Kazimierz Kąkol, Jerzy Muszyński, Wiesław Mysłek, Ignacy Krasicki) tak odpowiedzialny temat, to należy go precyzyjnie określić, że jeśli zapowiada się „szczerą, otwartą” krytykę to należy mówić o konkretnych. Po drugie dlatego, że rozmówcy, może z jednym wyjątkiem (Wiesław Mysłek) nie byli do dyskusji przygotowani, że jawina postawa inna z nich nie sprzyjała racjonalizacji problemu. Po trzecie wreszcie dlatego, że nieliczne argumenty, jakie podczas tej rozmowy padały, zamulone zostały, dość wytyrtykami ogólnikami.

Miała jednakowoż tv w minionym tygodniu i oczywiście osiągnięcia publicystyczne. Przede wszystkim myślę tu o „Dokumentacji do wspólnego myślenia” Studia-2, przygotowane przez Aleksandra Paszyńskiego i Dariusza Fikusa, a poświęcone gospodarce i polityce mieszkaniowej, także o kolejnym wydaniu „Spotkań w drodze” (25 X), rzetelnym zapisie dziennikarskim robotniczej dyskusji w WSK Świdnik, również o programach bódźkich „Wiedomości”. Jak widać skąperanie najlepszych tradycji telewizyjnej roboty z najlepszymi siłami publicystyki prasowej (coraz więcej nazwisk znanych z tygodników pojawia się w TvP) przynosi dobre efekty.

Po stronie sukcesów TvP minionego tygodnia należy zapisać jeszcze „Zakręt” wg. Tadeusza Wieżana w reżyserii Grzegorza Królikiewicza. Spektakl, przygotowany przez bódźki ośrodek w roku 1978 zabrzmiął mimo to aktualnie, choć paraboliczność, chyba komediowa w pierwotnym zamysłu, sytuacji nie we wszystkim była czytelna. A może po prostu w obecnym stanie ducha oczekujemy idei i tematów klarowniej wyłożonych?

Wreszcie doskonały spektakl zaprezentowało Studio Faktu i Sensacji. Myślę tu o czwartkowym debiucie fabularnym Witolda Stareckiego pod tytułem „Między wierszami”. Zasługa tego w równej mierze pierwowzoru literackiego na którym reżyser i scenarzysta się oparli (tekst J. L. Borgesa „Ogród o rozwidlających się ścieżkach”), jak i pomysłu adaptacyjnego, nie mówiąc już o dojrzałym warsztacie filmowym Stareckiego.

Nudnawy serial „Ostatni kabriolet” został już po części wymieniony przez rzecz, która zapowiada się rzeczwiście ciekawie: „Waszyngeton za zamkniętymi drzwiami”, „Political fiction” (w tym przypadku także wiele prawdy), a do tego gatunku należy nowy serial, będzie się rozwijał przed naszymi oczami równoległe do wyborów prezydenckich w USA!

Dość już koniec homażu dla Teatru Starego wyreżyserowany przez Andrzeja Wajdę. Prawdziwy był to benefit aktorski. Cały serial, jak to się mówi — wysmakowany w szczegółach, przedstawiał sobą rozległą panoramę świadomości społecznej i artystycznej z początku naszego stulecia. Oglądało się ją jak wystylizowany pastisz, nie pozbawiony jednak głębszej refleksji historycznej i narodowej. A że pachniał naftaliną? Cóż, czasy w których emitowane ten serial, nakazywały nam przekładać kołację na „po Dzienniku”. A i po Dzienniku nie było nam w głowie różne „Ewunia Parte” i kłopoty Zbigniewa Dulskiego...

I redakcja muzyczna miała swoje dobre godziny finalizując Konkurs Chopinowski, i redakcja filmu telewizyjnego, choć na półkach już niewiele chyba zostało, i redakcja rozrywkowa (też z półek). Chciałoby się jeszcze napisać o innych programach. Niestety skończyła się kartka.

GRZEGORZ GAZDA

PROPOZYCJE

W różnorodnych dyskusjach poszukuje się nowych form działania, ludzie zastanawiają się nad tym, co wszystko, co było dawniej, co ugruntowało u nas tradycję, było takie zło, że trzeba było zmieniać, reformować, biurokratyzować, centralizować, i dochodzi do wniosku, że nie trzeba było tak postępować. Bardzo słusznie. Ale, czy teraz w powodzi gwałtownych gestów i nie przemyślnych decyzji nie postępujemy podobnie?

Oto przykład pierwszy. Jednym pociągnięciem zlikwidowano w całym kraju teckę w kioskach, które były swego rodzaju prenumeratą. Teraz, ci, którzy przywykli do systematycznego czytania prasy tygodniowej muszą czatować pod kioskami na moment jej rozłożenia, aby kupić swój ulubiony tygodnik. Inni natomiast, ci którym praca nie pozwala czatować pod kioskiem, pobięgli na pocztę, aby zaprenumerować „Kulturę”, „Politykę”, „Przekrój”, „Panoramę” i tak dalej. I tu spotkał ich zawód. „Express Wieczorny” cytując tekst ogłoszenia, jakie pojawiło się na pocztce: „Zgodnie z zarządzeniem Ministra Łączności wstrzymuje się przyjmowanie przedpłat na prenumeratę czasopism na pozostałe miesiące br. oraz na rok przyszły prowadzone przez urzędy pocztowe i przez doręczycieli”.

Mamy szczególne upodobanie do wylewania dziecka z kąpielą oraz do działań pozorowanych. To, że coś się w naszym kraju zmieniło wcale nie oznacza, że już nie mamy biurokracji, że urzędnicy zmienili sposób widzenia świata, że zaczęli inaczej, rozsądniej reagować na różne zjawiska i procesy. Nic podobnego. Przykład z likwidacją tecek w kioskach „Ruchu” i pocztowej prenumeraty jest tego najlepszym dowodem. Przecież od tego, że zniesiono teckę w kioskach i zlikwiduje się prenumeratę, prasy nie przybędzie. Będzie się jej drukowało akurat tyle samo, co do tej pory, jako że wszystkie nakłady gazet i tygodników są limitowane. Po prostu dostanie się ona w inne niż do tej pory ręce. Czy to ma coś

wspólnego z demokracją, z likwidacją przywilejów i tak dalej? W moim przekonaniu — nie.

Są przecież ludzie, którzy z racji zawodu muszą dostawać regularnie prasę (nie niezbędną i nie tylko techniczną, naukową, ale i kulturalną). Czy teraz profesor uniwersytetu, politolodzy, szkoły rolniczej będzie biegał pod kioski i czatował na moment dostarczenia tam prasy? A może będzie wy-

nym czytali w gazecie, albo i tak, że o tym, co widzieli, w gazecie nie czytali. Zresztą i teraz jeszcze tak się zdarza. Ale ta nieufność rodzi też inne ujemne zjawisko.

Oto w „Tygodniku Piotrkowskim” czytamy z przerażeniem, iż w Bełchatowie trzech szefów pewnej instytucji („Tygodnik Piotrkowski” kurtuazyjnie nie podaje jej nazwy, a szkoda) uniemożliwiło reporterce „Przeglądu Bełchatowskiego” rozmowę z racjonalizatorem na temat racjonalizatorstwa bez ich uprzedniej zgody i nie zgodził się na pisanie o tym, jeśli ONI przed publikacją nie przeczytają tekstu. Ale coś mi się zdaje, że w potoku nieporozumień co do treści i istoty procesu demokratyzacji w kraju, rodzi się nam jeszcze gorza cenzura. To już nie pierwszy raz spotykam się z wiadomościami o tym, że informatorzy uzależniają udzielenie informacji od zgody dziennikarza na pokazanie tekstu przed jego opublikowaniem. A jakim prawem? Przecież! Czy dziennikarz nie ma już prawa do własnych poglądów? Jeśli uzyskane informacje ma zamiar poddać krytycznej ocenie, jeśli mu to jest potrzebne do wyrobienia JEGO poglądu na taką czy inną sprawę, to co? Autoryzuje się tylko wypowiedzi, które ktoś udzielił dziennikarzowi.

Ale nie tylko to mnie martwi. Widzę, jak nagle ludziom zaczęło się trudniej pracować, bo nie tylko muszą myśleć i decydować, ale też odpowiadać, a na dodatek jeszcze mieć argumenty dla uzasadnienia swojej racji. I widzę, jak niektórzy tęsknie rozglądają się za gorsetem instrukcji, przepisów, poleceń, wytycznych, przed których nadmiarem kilka miesięcy temu jeszcze gorąco i po kątach protestowali. I boję się, aby z tej tektury nie popadli z powrotem w utarte koleiny, bo to łatwiej i wygodne. Ale i boję się tego, żeby wyskakując z kolein nie narobić nowych gupstw. Dość ich do tej pory narobiliśmy. Dlatego wołam o zdrowy rozsadek, czas do namysłu i spokojne rozmowy o wszystkim, a najlepiej o tym, co mamy zrobić.

MARCIN RODAK

NAJPIERW POMYŚLEĆ

syłał studentów? Przecież to kompletna bzdura. Bez podniesienia nakładów prasy nie zlikwiduje się nienadania jej podażą za popytem. Ale „Ruch” i Ministerstwo Łączności mają kłopot z głową. Działania podjęli. Tylko że te działania wywołały zamęt na rynku, to już ich nie interesuje.

Jestem oczywiście za odnową — jeśli już tak uparliśmy się nazywać powracanie do właściwych norm postępowania — ale jestem też za myśleniem. Ciągłe boję się, że w gwałtownej pogoni za nowym możemy wyrzucić nieodwracalne straty. Ot, choćby z czytelnictwem, ale nie tylko. Trwa dyskusja nie tylko o dostępności prasy, ale i o jej modelu, jej zawartości, jej treści. Ludzie nauczyli się nieufności do drukowanego słowa. Wielekroć bywało przecież tak, że ludzie co innego widzieli, a o czymś in-

HASŁO NUMERU: STOLICZKU NAKRYJ SIĘ! CBRUS ZBĘDNY!

Nowa wersja „Wspólnego pokoju”

Zbigniew Unikowski napisał wspólny pokój”, a książka ta została nawet sfilmowana. Andrzej C. „Wspólnego pokoju” nie napisał i nikt na podstawie tego nie zrobił filmu. A mimo to Andrzej C. jest autorem nowej wersji „Wspólnego pokoju”. Pokój ten znajdował się w jednym z hoteli robotniczych na Śląsku, gdzie Andrzej C. udał się w poszukiwaniu dużych zarobków. Przeprowadził miesiąc zarobków, rzeczywiście nieźle i z całym zarobkiem udał się do „Baru Ludowego”, gdzie przez trzy dni bankietował.

Stwierdziwszy, że skończyła się mu gotówka, powrócił do wspólnego pokoju, skąd zabrał parę drobniaków, a to płaszcz współlokatora, a to buty kozuły, elektryczną maszynkę do golenia oraz radio „Mariola”. Spieniężywszy zabrane rzeczy, dalej bankietował. I tu go zastał pościg.

Przez 3 lata będzie w innym „wspólnym pokoju” rozpamiętywał bankietowanie w „Barze Ludowym”.

NASZ ULUBIENIEC MA KŁOPOTY

14 listopada 1980 roku polski piłkarz grający obecnie w Anglii, Kazimierz Deyna stanął przed angielskim sądem, aby zeznawać w dość tajemniczej sprawie. Wracającego późną nocą do domu piłkarza gonili samochód patrolowy angielskiej policji. Kierowca samochodu policyjnego nie dostrzegł wyjeżdżającego z bocznej ulicy innego samochodu. Oba samochody zderzyły się, pięć osób odniosło obrażenia. Ponieważ w Anglii wszystkie — nawet najdrobniejsze — sprawy drogowe rozpatrują sądy, Kazimierz Deyna stanął przed sądem, aby odpowiadać jako świadek. Jak do tej pory policja angielska nie ujawniła w jakim celu jechała za samochodem K. Deyny. Śledziła go Gonila?

Opowieść o kłopotach naszego ulubieńca dedykujemy tym wszystkim piłkarzom, którzy marzą o wyjeździe zagranicą. Okazuje się, że zarówno u nas, jak i za granicą niebezpiecznie jest dla piłkarza jeździć samochodami. Szczególnie po nocy.

K.I.Bic

List z Warszawy

CO ROBIĆ?

Ciesze się, że u was w Łodzi nie ma żadnych wielkich biurowców, poza dwoma, z którymi ciągle nie wiadomo, co będzie. W Warszawie jest Budowany od 30 lat wieżowiec „Polimex-Cekop”. Postanowiono przekazać go na hotel, ale — jak obliczyli fachowcy — cała taka przebudowa nie opłaca się, bo w budynku o kubaturze hotelu „Forum” będzie o 400 miejsc mniej. Hotele — jak się okazuje — trzeba budować specjalnie. Adaptacja nie na wiele się zdaje.

Wiele powstał inny pomysł. Skoro już wieżowiec budowano z przeznaczeniem na biura i sprowadzono specjalne meble, trzeba dokończyć budowę i wynajmować te biura różnym zagranicznym firmom i przedstawicielstwom. Dolary i inne wymienialne waluty też będą wpływały, nawet w większej ilości, a przy okazji zwolnią się miejsca w hotelach, pensjonatach i prywatnych domach, do tej pory wynajmowane przez zagraniczne przedstawicielstwa różnych firm.

Który pomysł zwycięży? Nie wiem. Wiem natomiast co innego. Gigantomania w naszych warunkach nie prowadzi do niczego dobrego. Trzeba znać swoje miejsce, mocul panowie.

Pozdrawiam

Eusebiusz Kowal



— A ja już nikomu nie wierzę! Nawet kiedy mówią mi, że 2 x 2 = 4, słucham tego z niedowierzaniem.

Rys. Andrzej Adamowicz



NIE CHCĄ CZEKAĆ?

Budowany w Poznaniu wieżowiec Akademii Ekonomicznej, rakieta częstej mieszkalności odbiór telewizyjnych programów. Interwencje nie pomagają. Specjaliści twierdzą, że teraz nie da się zrobić, że dopiero jak się skończy budować, to zainstaluje się specjalny przekazywacz i na telewizyjnych ekranach znów wszystko będzie dobrze wyglądało. Będzie tak dopiero w 1982 roku.

— A jeśli wtedy dziennik telewizyjny znów będzie taki nudny, jak niedawno, to co? — pytają niecierpliwie poznańscy i domagają się, aby już teraz mogli oglądać telewizję bez przeszkód.

ZYX

XYZ

Tygodnik społeczno-kulturalny „Odgłosy”; al. A. Mickiewicza 11; kod 90-438 Łódź. Telefon: sekretariat i redaktor naczelny 652-44, sekretarz redakcji 680-99, publicysta 677-70. Redakcja nie zamawia kopii — 156 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyła za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw 00-953 Warszawa, ul. Towarowa 28, konto NBP XV oddział w Warszawie nr 1153 201045-139, prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” Kombinat Wydawniczo-Kolportażowy w Łodzi. Adres: ul. Piotrkowska 96; kod 90-103 Łódź. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW w Łodzi, ul. Armii Czerwonej 28, Nr indeksu 36762. Zam. 2422. G-2.